XI. — 1-2 LIPIEC-SIERPIEŃ 1935.

165

SZKOŁA CHRYSTUSOWA



TREŚĆ:

SZKOŁA CHRYSTUSOWA
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO.

Redaktor: O. ROMUALD KOSTECKI O. P.
Redakcja i Administracja: Lwów, OO. Dominikanie.

Przedpłata roczna 4 zł., w Ameryce 1 dol.
Przedpłata półroczna 2 zł., zeszyt pojedynczy 40 gr.
P. K. O. 504.608 (Wydawnictwo OO. Dominikanów)

XI. — 1-2 **SOMMAIRE:** **Juillet-Août 1935.**

SZKOŁA CHRYSTUSOWA

XI. — 1935.

ROK VI.

TOM XI.

Szkoła Chrystusowa

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO





LWÓW 1935

WYDAWNICTWO OO. DOMINIKANÓW

Za pozwoleniem władzy duchownej.



Z drukarni Dominikańskiej — Lwów.

XI. — 1-2. LIPIEC-SIERPIEŃ 1935.

Szkoła Chrystusowa

Miesięcznik

NASZA RRZYJAŹŃ Z BOGIEM.

Człowiek, istota ograniczona, niewystarczająca sama sobie, potrzebuje pomocy innych. Dlatego bardzo ważnem jest dla niego by umiał należycie ustosunkować się do otoczenia. Od tego bowiem w wielkiej mierze zależeć będzie jego dobrobyt duchowy i materjalny.

Jeśli ważnem jest ustosunkowanie się człowieka do ludzi równych mu, to cóż dopiero należy powiedzieć o stosunku jego do Istoty Najwyższej, do Swego Początku i Końca, do Boga?

Najmniejszej niema tu wątpliwości, że to sprawa zasadnicza, podstawowa; słowem najważniejsza. Zależnie bowiem od tego, jak będziemy nastawieni do Boga, taką lub inną formę przybierze nasze życie moralne.

Inny wygląd będzie miało nasze życie, gdy w Bogu będziemy widzieć tylko Pana Wszechmocnego, Sprawiedliwego Sędziego, karzącego nieubłaganie wszelkie przestępstwo i t. d., a inny wtedy, gdy na Boga będziemy patrzeć, jako na Ojca, kochającego swe stworzenia.

Jakże więc mamy do Pana Boga się usto-

sunkować? W jaki sposób mamy w życiu do Niego się odnosić?

Odpowiedź na to, sama nam się nasunie, jeśli przedtem uświadomimy sobie, kim jest Bóg i co Jemu zawdzięczamy?

Bóg jest dla nas Bogiem-Stworzycielem, a my Jego stworzeniami; ten sam Bóg-Stworzyciel jest naszym Ojcem, a my Jego dziećmi; wreszcie Bóg, nasz Ojciec, jest naszym Przyjacielem, a my Jego przyjaciółmi.

Rozważmy to!

Bóg jest naszym Bogiem-Stworzycielem, a my Jego stworzeniami. Chcemy przez to wyrazić, że Bóg jest naszym początkiem *„Ego sum principium"*, Pierwszą Przyczyną, jak się wyraża filozofja.

Jako Stworzyciel, Bóg jest przyczyną wszelkiego bytu. On wszystko z nicości do bytu powołał. Każda rzecz istniejąca, ma swe ostateczne wytłumaczenie, ostateczną rację swego istnienia nie gdzieindziej, jeno w Bogu, Przyczynie Pierwszej.

Bóg nietylko to wszystko, co istnieje, do bytu powołał, ale ustawicznie i bez przerwy, wszelki byt w jego istnieniu utrzymuje. Gdyby Bóg na moment zaprzestał Swą wszechmocą podtrzymywać przy istnieniu jakąkolwiek rzecz stworzoną, ona natychmiast przestałaby istnieć. Jak światło w swem powstaniu, oraz trwaniu, zależy od słońca, tak podobnie wszelki byt stworzony zależy od Boga, Przyczyny Pierwszej.

Zależność stworzenia od Boga, jest zupełną, absolutną. Stworzenie wszystko co posiada, otrzymało od Boga.

Czytając pisma niektórych pisarzy mistycznych, spotykamy się u nich z wyrażeniami, które wydają się nam przesadnemi. Tak np. bardzo często spotyka się powiedzenie, że „stworzenie jest niczem“, „że człowiek jest nicością“, i t. p. Tych i tym podobnych wyrażeń używali oni zupełnie świadomie i głęboko przekonani o ich prawdzie.

Napozór jest w tem nietylko przesada, ale sprzeczność. Stworzenie, przez to samo, że istnieje, nie jest nicością. Byt nie może być równocześnie niebytem.

Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę, ostateczną rację istnienia stworzenia, — a to właśnie mieli na myśli owi pisarze, — w powiedzeniach owych niema przesady, ani fałszu. Mówiąc, że stworzenie jest nicością, chcieli zaznaczyć, że samo ze siebie jest niczem, że samo od siebie nic nie posiada i że wszystko co ma, czem jest, ma od Przyczyny Pierwszej, od Boga; słowem, że stworzenie całkowicie i we wszystkiem zależne jest od Boga.

Ta zależność całkowita od Boga, jest fundamentem, na którym ma się opierać stosunek stworzeń do Boga.

Chodzi tu o stworzenia rozumne.

One bowiem mając świadomość tej zależności, mają obowiązek ją uznać i nazewnątrz okazywać.

Uświadomienie sobie, uznanie i okazywanie czynami zależności od Boga, oto podstawowe ustosunkowanie się stworzenia do Boga. Jest ono podobne do tego, jakie istnieje między panem a sługą, z tą wielką różnicą, że zależność sługi od pana zwyczajnego, jest tylko względną, częściową, zależność natomiast stworzenia od Boga, jest całkowitą, absolutną, bezwzględną.

Bóg stwarzając człowieka, chciał, by on był nietylko zwykłem stworzeniem, ale równocześnie Jego przybranem dzieckiem i dlatego podnosi go do stanu nadprzyrodzonego, udzielając mu przez łaskę poświęcającą, coś ze Swej Boskiej Natury.

Przez to wyniesienie, stosunek między człowiekiem a Bogiem się zmienia. Nie w tem znaczeniu, jakoby człowiek nie był od Boga zależny. Nie. Tej zależności nie może nikt usunąć. Nawet Bóg Sam. Ta zależność wynika z natury stworzenia. Stworzenie, jako stworzenie, nie może nie zależeć od Swego Stwórcy.

Wyniesienie człowieka do porządku nadprzyrodzonego tej zależności nie usunęło, ani usunąć nie mogło. Dopuszczając człowieka przez łaskę do uczestnictwa w swej naturze, Bóg, udzielił mu pewnej doskonałości, upodobniającej go do Siebie. Uczynił go swem przybranem dzieckiem. Dzięki łasce poświęcającej, człowiek niejako wszedł do rodziny Bożej, stał się „Jego rodzajem“, „uczestnikiem natury Bożej“ (II Piotr I, 4).

„Patrzcie, jaką miłość dał nam Ojciec, że

dziećmi Bożemi nazwani zostaliśmy i jesteśmy... — Najmilsi! teraz dziećmi Bożemi jesteśmy...“ (I Jan. III, 1-2).

Chrystus Pan ucząc Apostołów modlitwy, nakazuje im, by do Boga zwracali się jako do Ojca.

„Wy tedy tak się modlić będziecie: Ojcze nasz, Któryś jest w niebiesiech (Mt. 6, 9). Nie rozkazuje im, by mówili do Boga: *„Panie nasz, Stwórco nasz“* — ale *„Ojcze nasz“*, chcąc zaznaczyć, że Bóg dla nas chce być przedewszystkiem Ojcem i że nasz stosunek do Niego, ma być podobny do stosunku dziecka do Ojca. Będąc Ojcem, nie przestał być Panem i jak zaznaczyliśmy, nie może Nim nie być, życzeniem jednak Jego jest, byśmy w ustosunkowaniu się do Niego, mieli na pierwszym planie, nie Jego wszechmoc Boską, ale Dobroć Ojcowską i co za tem idzie, by nasz stosunek do Niego był oparty na miłości.

Miłość Boga jest istotną częścią religji chrześcijańskiej.

Na to zwracał uwagę ludzkości sam Bóg, już w Starym Zakonie, przez wielkie przykazanie miłości: *„Słuchaj Izraelu: Pan, Bóg nasz, Pan jeden jest. Będziesz miłował Pana, Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej siły twojej“* (Deutor 6, 5).

Aby zaznaczyć ważność tego przykazania, mówi dalej: *„i będą te słowa, które Ja dziś przykazuję tobie, w sercu twojem i będziesz je powiadał synom twoim i będziesz o nich rozmyślał,*

siedząc w domu twoim i idąc drogą, śpiąc i wstając" (Deut. 6, 6-7).

Naród wybrany, mimo tak wyraźnych słów, jakiemi Bóg akcentował ważność miłości Bożej, tem przykazaniem tak, jakby należało, wcale się nie przejął, a jeszcze w mniejszej mierze wprowadził je w czyn.

W przeciwieństwie do narodów pogańskich, którym wcale nie przyszło na myśl, by swe bóstwo kochać, naród wybrany, albo przynajmniej niektóre jednostki, rozumieją wprawdzie ten obowiązek, jednakowoż ta miłość Boga, u narodu wybranego jest rzadką i niedoskonałą. Jest ona owiana więcej strachem, aniżeli życzliwością.

Dopiero Chrystus Pan i swoją nauką i czynnym przykładem jasno podkreślił ważność cnoty miłości.

Religja Chrystusowa zaprowadza nową epokę w ustosunkowaniu się ludzkości do Boga.

Gdy otworzymy księgi Pisma św. Nowego Testamentu, uderzy nas odrazu ustawiczne kładzenie nacisku na cnotę miłości.

Chrystus Pan zapytany przez jednego z doktorów zakonnych, jakie jest wielkie przykazanie w Zakonie, odpowiada: *„Będziesz miłował Pana, Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej. To jest największe i pierwsze przykazanie. A wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie. Na tych dwojgu przykazaniach, cały Zakon zawisł i prorocy"* (Mat. 22, 37-40).

Miłość Boga i z nią idąca zawsze w parze miłość bliźniego, są, według wyraźnego powiedzenia Chrystusa, najważniejszemi rzeczami, w życiu chrześcijańskiem. Wprawdzie i inne cnoty są ważne, lecz między niemi prym dzierży miłość *„a z tych większą jest miłość“* (I Kor. 8, 14).

Ważność i wielkość, oraz przymioty miłości Bożej podnosi św. Paweł w pierwszym liście do Koryntjan, gdzie to wyśpiewuje długi i przepiękny hymn na jej cześć.

„I choćbym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłościbym nie miał, stałbym się, jako miedź brzęcząca, albo cymbał brzmiący. I chociażbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszystką naukę: i miałbym wszystką wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłościbym nie miał; nic nie jestem. I chociażbym wszystkie majętności moje rozdał na żywność ubogich i choćbym wydał ciało moje tak, iżbym gorzał, a miłościbym nie miał, nic mi nie pomoże. Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest...“ (I Kor. 13, 1-4).

Miłość, na której ma opierać się nasz stosunek do Boga, według nauki teologów, niema być miłością bylejaką, lecz ma to być miłość najszlachetniejsza, kwiat najpiękniejszy miłości wogóle, a mianowicie miłość przyjaźni, — przyjaźń.

Nauka teologów o przyjaźni z Bogiem, ma swe uzasadnienie w Piśmie św. Bardzo często w księgach świętych ludzie religijni, Boga kochający, nazywani są przyjaciółmi Bożymi. *„Pamiętać mają, jako był kuszon Ojciec nasz Abra-*

ham i przez wiele ucisków doświadczony, a stał się przyjacielem Bożym" (Judyt 8, 22).

Pan Jezus uczniów swoich i apostołów nazywa przyjaciółmi. *„A mówię wam przyjaciołom moim"* (Łuk. 12, 4). *„Już was nie będę zwał sługami; bo sługa nie wie, co czyni Pan jego; lecz nazwałem was przyjaciółmi, bo wszystko, co słyszałem od Ojca Mego oznajmiłem wam"* (Jan. 15, 15).

Za przyjaciół Chrystus uważa tych, co zachowują Jego przykazania: *„Wy jesteście przyjaciółmi moimi, jeśli czynić będziecie, co Jam wam przykazuję"* (Jan. 15, 14).

Gdyby nie słowa Pisma świętego, które wyraźnie nazywa ludzi przyjaciółmi Bożymi, żaden z teologów nie odważyłby się twierdzić, by mogła istnieć przyjaźń między dwoma bytami, tak różnemi między sobą, jak Bóg i człowiek.

W pierwszych wiekach teologowie mówili o miłości między Bogiem a człowiekiem, lecz dopiero św. Tomasz, zwrócił uwagę na to, i wykazał, że ta miłość ma wszystkie cechy przyjaźni[1]).

Aby miłość mogła być prawdziwą przyjaźnią niezbędne są trzy warunki:

1) Musi mieć ona fundament, na którym mogłaby się oprzeć.

2) Musi to być miłość bezinteresowna.

3) Wreszcie musi być wzajemną.

---

[1]) 2-2 q. 23, a. 1.

I.

FUNDAMENT PRZYJAŹNI.

Każda przyjaźń musi mieć fundament, podstawę, na której mogłaby się oprzeć. Ta podstawa jest równocześnie przyczyną powstania przyjaźni. Podstawą dla przyjaźni ludzkich, bywa zwyczajnie pewne podobieństwo, jak np. podobieństwo usposobienia, jednakie zamiłowania, upodobania, czy przekonania, podobne przymioty ducha, czy też nawet ciała i t. p.

Słowem, przyjaciele muszą mieć w sobie coś wspólnego.

To coś wspólnego, jest zwyczajnie korzeniem z którego wyrasta przyjaźń.

Najlepszym i najpewniejszym fundamentem przyjaźni, to wspólność celu życia. Wspólność celów życiowych rodzi najtrwalsze przyjaźnie. Zależnie od tego, jakim jest ten cel, może on dać mniej lub więcej trwałą podstawę pod przyjaźń. Cel więcej ogólny, szlachetniejszy, wznioślejszy, będzie gruntem lepszym, niźli cel bardzo szczegółowy, mieszczący w sobie niewielką dozę dobra. Doświadczenie życiowe jest tego najlepszym dowodem. Z najpiękniejszemi przyjaźniami spotykamy się u Świętych. Ich bowiem łączył cel życia najwznioślejszy, najszerszy, bo cel ostateczny, umiłowanie Boga nadewszystko.

A czy człowiek ma coś wspólnego z Bogiem? Czy można mówić o podobieństwie między Bogiem a ludźmi? O wspólności celów życiowych, które mogłyby stać się podstawą przyjaźni?

Tak jest! Bóg i człowiek mają wiele ze sobą wspólnego. Między człowiekiem a Bogiem jest podobieństwo.

Człowiek został przecież stworzony na obraz i podobieństwo Boże: *„Uczyńmy człowieka na wyobrażenie i na podobieństwo Nasze"* (Gen. I, 26). *„Gdyż Bóg stworzył człowieka nieśmiertelnym i uczynił go wyobrażenie podobieństwa Swego"* (Sap. 2, 23). *„Bóg stworzył z ziemi człowieka i według obrazu Swego uczynił go"* (Ekl. 17, 1).

Człowiek w porządku czysto przyrodzonym, jako zwykłe stworzenie, przez swą naturę duchową, nosi już na sobie obraz Boży. Natura ludzka, przez swą stronę duchową, naśladuje Boga w Jego duchowości.

Tak Bóg, jak i człowiek mają w sobie coś wspólnego, a mianowicie naturę duchową. Jednakże między Bogiem a człowiekiem jest pod względem doskonałości wielka przepaść. Natura ludzka, aczkolwiek duchowa, należy do porządku czysto naturalnego, a więc właściwego stworzeniu zwykłemu. Natura zaś Boska należy do porządku nadprzyrodzonego, właściwego Bogu samemu. Jest więc między człowiekiem a Bogiem pewne podobieństwo. Człowiek w porządku przyrodzonym jest obrazem Bożym, ale niedoskonałym.

Ponieważ Bóg wyniósł człowieka przez łaskę do porządku nadprzyrodzonego i udzielił mu coś ze Swej natury Boskiej, dlatego człowiek przez łaskę stał się obrazem Boga doskonalszym. Łaska

duszę człowieka w pewien sposób ubóstwa *„aby dać nam uczestnictwo w Bóstwie swojem"*[2]) i daje jej zdolności do czynów Boskich. Łaska sprawia podobny skutek w naszej duszy, do tego, jaki dusza sprawia w ciele. Jak ciało ożywione duszą, staje się żywem, jest zdolne do czynów ludzkich, tak podobnie dusza posiadająca łaskę, ma w sobie coś z natury Boskiej, posiada zdolności wykonywania czynów, właściwych Bogu Samemu, poznawania i kochania, tak jak poznaje i kocha Bóg Sam.

Podnosząc człowieka przez łaskę do stanu nadprzyrodzonego, Bóg tem samem upodobnił go jeszcze więcej do Siebie, a równocześnie przez to wyniesienie nastąpiła wspólność celu życiowego.

Celem życia Bożego jest Bóg Sam, w Swem odwiecznym akcie poznania i miłości.

Udzielając człowiekowi łaski, dał mu Siebie Samego w Swem życiu wewnętrznem, za cel ostateczny. Dzięki temu człowiek może żyć tem samem życiem co i Bóg, czyli może i powinien poznawać i kochać Boga, tak, jak poznaje i kocha Bóg Sam Siebie.

Możemy więc powiedzieć bez przesady, że Bóg i człowiek mają ten sam cel życia. A wspólność celów to najlepszy fundament przyjaźni.

Widać tu ważność i wielkość łaski poświęcającej. Upodabniając człowieka do Boga, zbliża go do Niego, wynosi go na poziom Boży. Człowiek w stanie łaski, ma w sobie coś Bo-

---

[2]) Prefacja na dzień Wniebowstąpienia.

skiego; dusza ludzka uświęcona łaską nosi na sobie niejako rysy Boże.

Bóg patrząc na to podobieństwo Swoje, odnosi się do człowieka, już nie jako do zwykłego stworzenia, ale jak do Swego przyjaciela.

„Już nie będę was zwał sługami, ale przyjaciółmi“.

II.

MIŁOŚĆ BEZINTERESOWNA.

Podobieństwo, wspólność celu życiowego jest fundamentem, na którym można budować przyjaźń. Właściwa przyjaźń, polega na miłości.

Zagadnienie filozoficzne co to jest miłość, jest bardzo trudne do określenia. Miłość należy do bardzo tajemniczych objawów życia. Napozór wydaje się nam ona czemś jasnem, gdy jednak zaczniemy się zastanawiać nad nią i gdy przyjdzie nam powiedzieć co to właściwie jest, przekonywujemy się, że nie wiemy tak dokładnie, jak się nam wydawało. Można tu powtórzyć zdanie św. Augustyna, wypowiedziane o czasie: „gdy nikt mnie się nie pyta, czem jest czas, wiem czem on jest, lecz gdy ktoś mię o to zapyta i chcę mu na to odpowiedzieć, przekonywuję się, że właściwie nie wiem“.

Miłość wzięta wogóle, abstrahując od jej różnych odcieni, jest to upodobanie w danym przedmiocie. To upodobanie powstaje w nas, gdy stajemy wobec dobra, które nam odpowiada, czyli gdy między naszemi władzami pożądawczemi a

tem dobrem, jest pewna harmonja, pewne uzgodnienie (coaptatio). Owo uzgodnienie, sharmonizowanie władz pożądawczych z przedmiotem dobrym, jest okryte tajemnicą. Z tego powodu trudno dokładnie je zbadać.

To sharmonizowanie tajemnicze czyli miłość może być różnorakie.

Może najpierw być czemś wrodzonem. Jest to to, co my nazywamy skłonnością naturalną, znajdującą się u wszystkich bytów.

Każda rzecz, każdy byt zdąża przecież do pewnego, właściwego jego naturze dobra. Miłość tego rodzaju jest powszechną.

Oto co mówi o niej Platon: „Eros, miłość nietylko w ludzkich duszach mieszka i stamtąd się zwraca do pięknych, ale i do wielu innych rzeczy, że mieszka i w ciałach wszystkich żywych stworzeń i w tem, co się w łonie ziemi wytwarza i krótko mówiąc, we wszystkiem, co tylko istnieje".

Tę naturalną, wrodzoną każdej rzeczy skłonność, można uważać za najniższy stopień miłości, lecz właściwie nie jest to jeszcze miłość w ścisłem znaczeniu, ale miłość wzięta w sensie szerszym.

Z miłością właściwą mamy do czynienia dopiero wtedy, gdy upodobanie powstaje na skutek poznania, bądź to zmysłowego, bądź umysłowego.

W pierwszym wypadku mamy miłość uczuciową, w drugim duchową.

Siedzibą miłości uczuciowej u człowieka są władze zmysłowo-pożądawcze. Cechą zaś jej charakterystyczną, jak wogóle wszystkich uczuć,

jest to, że ona łączy się z pewnemi zmianami w naszym organiźmie. Przyspiesza oddech, obieg krwi, bicie serca i t. p.

Miłość uczuciowa jest nam wspólną ze zwierzętami. U nas jednak jest ona szlachetniejszą i delikatniejszą.

Gdy natomiast owo upodobanie pochodzi z poznania umysłowego, mamy wówczas miłość duchową.

Jak miłość uczuciowa jest nam wspólną ze zwierzętami, tak znów miłość duchowa jest nam wspólną z istotami czysto duchowemi, jak aniołowie, lub nawet Sam Bóg, z tą znów wielką różnicą, że u duchów czystych ona jest doskonalszą, zależnie od stopnia doskonałości ich natury.

Widzimy więc, że istnieje jakby potrójny rodzaj miłości.

Miłość naturalna czyli wrodzona, miłość uczuciowa i miłość duchowa.

Miłość nasza ,ludzka, łączy w sobie wszystkie te trzy rodzaje miłości i dlatego jest ona czemś bardzo złożonem. Człowiek jest syntezą wszystkich miłości.

Miłość wrodzona jest podstawą miłości uczuciowej, i duchowej. Te ostatnie znów mogą przybrać najrozmaitsze odcienia.

Człowiek wzięty jako całość, jest także pewną naturą, dążącą do pewnego dobra. Objawem tej dążności naturalnej jest miłość dobra wogóle. Nazywamy to pragnieniem szczęścia.

Ta miłość dobra wogóle jest powszechna.

Niema człowieka, któryby nie kochał dobra w ogólności.

Z tej pierwszej miłości, która nie koniecznie musi być świadomą (jak n. p. u dziecka przed przyjściem do używania rozumu), wypływają inne więcej już skonkretyzowane objawy miłości naturalnej, a więc miłość własnego istnienia, własnego życia, miłość czynności właściwych władzom przyrodzonym, jak n. p. miłość myślenia, chcenia i t. d.

Słowem, istnieje w nas miłość do swego „ja", wziętego jako pewna jedna całość. W każdej zaś z władz, w każdym z członków, które również w swoim zakresie są pewną naturą, istnieje również miłość naturalna, która przejawia się jako dążność do odpowiedniego dobra.

Tak oko ma wrodzoną miłość koloru, słuch dźwięku, rozum prawdy i t. d.

Miłość naturalna nie zależy od naszej wolnej woli; ona jest składową częścią naszego ja, my z nią przychodzimy na świat.

Na tej wrodzonej, naturalnej miłości, jakby na fundamencie powstają dwa następne rodzaje miłości: miłość uczuciowa i miłość duchowa.

Miłość uczuciowa jest tylko dlatego u nas możliwą, że posiadamy ciało. U aniołów oraz w duszy po odłączeniu się od ciała ona nie istnieje.

Ciało ożywione duszą, czyli organizm zmysłowy, stoi pośrodku między materją a duchem. Doskonalszy od materji czystej ma pewną zdolność poznawania i kochania, będąc zaś zupełnie zależny od materji nie może się wznieść w swem po-

znawaniu i kochaniu ponad rzeczy materjalne, konkretne.

Poznając zmysłami pewne konkretne dobra, powstaje w człowieku, w jego władzach pożądawczych, upodobanie, owych rzeczy konkretnych. Jest to miłość uczuciowa. Nazywamy ją uczuciową dlatego, że ją czujemy.

Miłość uczuciowa mając pewien kontakt z rozumną częścią naszego, poddana jest władzy rozumu i woli. Nie mamy jednak nad nią zupełnej mocy.

Ona podlega rozkazom rozumu i woli, nie tak jak sługa swemu panu, lecz jak dyplomata wobec monarchy. Aby ją skłonić do poddania się rozkazowi wyższych władz duszy, trzeba z nią politykować, trzeba wejść z nią na drogę układów. Doświadczenie codzienne jest tego dowodem.

Gdy stanie nam przed oczyma coś pięknego (coś co nam się podoba) i gdy powstaje w nas upodobanie, czyli miłość do tej rzeczy, choćbyśmy mieli najsilniejszą wolę, nie możemy sprawić, aby ta rzecz widziana nam się nie podobała. Można jednak powstrzymać się i nie iść za owem upodobaniem, n. p. odwracając swe oczy i w ten sposób powoli owe pierwsze upodobanie osłabić i dopiero powoli zupełnie je zatrzeć. Nie mamy więc nad miłością uczuciową władzy bezwzględnej.

Wreszcie trzeciego rodzaju miłość u człowieka to miłość duchowa, albo miłość rozumna. Siedzibą jej jest czysto duchowa władza — wola.

Miłość duchowa ma swe źródło w poznaniu umysłowem. Rozum poznając daną rzecz, przedstawia ją woli, jako pewne dobro, które działając na nią, wytwarza w niej upodobanie. Proces powstania miłości duchowej jest ten sam, co w miłości uczuciowej, z tą tylko różnicą, że odbywa się ona na wyższym poziomie. Miłość duchowa jest wyższą i doskonalszą, jak wyższym i doskonalszym jest duch od materji. Mając swą siedzibę we woli, władzy czysto duchowej, cieszącej się wolnością, nie jest przez nas odczuwaną i co za tem idzie trudniej przychodzi ją poznać, jest jednak całkowicie w naszej mocy, jesteśmy jej panami, od nas bowiem zależy kochać, lub nie kochać. Jesteśmy za nią odpowiedzialni.

Należy tu zwrócić uwagę na jedną bardzo ważną rzecz, a mianowicie, że każda z tych potrójnej miłości w człowieku nie występuje osobno i niezależnie od innych. Gdy rozprawiamy o miłości teoretycznie, jesteśmy zmuszeni jedną od drugiej oddzielać, w rzeczywistości one występują wszystkie razem i każdy akt miłości w człowieku ma coś z każdej z nich. Zapewne, że jedna może mieć przewagę nad innemi, jedna z nich może wybijać się na pierwszy plan, jednakże niemożliwą jest rzeczą, jedną oddzielić zupełnie od drugiej. Miłość uczuciowa nie występuje nigdy w stanie czystym, bez domieszki miłości duchowej i naodwrót. Obydwie zaś tkwią swemi korzeniami w miłości wrodzonej, czyli miłości dobra wogóle.

Ponieważ w naszej naturze jest wrodzone

pragnienie szczęścia (dobra), dlatego, gdy poznamy dobro poszczególne, które choćby tylko w małej mierze mogło zaspokoić ów głód szczęścia, odczuwamy upodobanie do tej rzeczy. Ono nas pociąga.

Gdyby nie było w nas miłości wrodzonej szczęścia, bylibyśmy obojętnymi zupełnie na wszelkie dobra. Można więc powiedzieć, że miłość uczuciowa i miłość duchowa czerpią swe soki życiodajne z miłości naturalnej, nam wrodzonej.

Gdy znów weźmiemy pod uwagę miłość uczuciową i miłość duchową, to zauważymy, że one wzajemnie na siebie oddziaływują i jedna podtrzymuje drugą.

Miłość uczuciowa podtrzymuje i wzmacnia miłość duchową.

Jeśli daną rzecz czy osobę, kochamy wielką miłością uczuciową, to uczucie miłości wpływa na wyrobienie dodatniego sądu o osobie ukochanej. Widząc w niej dobra wyższego rodzaju, wola zaczyna się ku niej skłaniać i kochać ją miłością duchową.

Z drugiej strony, jeśli żywimy względem kogoś wielką miłość duchową, wówczas ta miłość przelewa się niejako na nasz organizm, występując we formie miłości uczuciowej. Miłość uczuciowa jest oznaką wielkiej miłości duchowej. Przykładów takiej miłości dostarczają nam żywoty świętych, np. nasz św. Stanisław Kostka.

W zwyczajnym porządku rzeczy, miłość za-

czyna się od uczucia, podobnie, jak proces naszego poznania ma początek również w zmysłach.

Jeśli chodzi o ustosunkowanie się tych dwóch miłości nawzajem do siebie, to jasną jest rzeczą, że miłość duchowa ma pierwszeństwo nad miłością uczuciową. Ta ostatnia powinna jej podlegać, ma być na jej usługach, nigdy zaś nie powinna brać góry nad miłością duchową.

Miłość uczuciowa bowiem, z natury swej jest zmienną, kapryśną. Gdybyśmy ślepo dali się nią powodować, wprowadziłaby nas na manowce. Miłość natomiast duchowa, którą poprzedza sąd rozumu, jest więcej stałą, więcej zrównoważoną, a im jest intenzywniejszą, tem jest gruntowniejszą i mniej zmienną.

To wszystko, cośmy powiedzieli o miłości, odnosi się do porządku przyrodzonego.

Ponad temi trzema rodzajami miłości, jest jeszcze miłość doskonalsza, miłość nadprzyrodzona, czyli cnota miłości. Podobnie, jak wiara i nadzieja, cnota miłości jest nam wlaną przez Boga, razem z łaską poświęcającą. *„Miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha św., który nam został dany“* (Rzym. 5, 5).

Cnota miłości, to pewna sprawność, sprawiająca, że wola nasza lgnie do Boga całą swą siłą, dając Mu pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi dobrami, dlatego jedynie, że jest Dobrem Najwyższem. Jest to nadprzyrodzone i stałe upodobanie w Bogu samym, a nie w Jego dziełach, na które patrzymy, upodobanie, podobne do tego,

jakie mają święci w niebie, posiadający jasnowidzenie Istoty Bożej.

Jako nadprzyrodzona cnota miłości, jest czysto duchową i należy ją odróżniać od miłości uczuciowej. Będąc duchową, nie musi się objawiać przez uczucia, chociaż uczucie może jej towarzyszyć i zwyczajnie jej towarzyszy.

Miłość duchowa nadprzyrodzona może być dwojakiego rodzaju: bezinteresowną i interesowną, czyli egoistyczną.

Miłość bezinteresowną nazywają powszechnie teologowie miłością życzliwości.

Czem jest jedna, a czem druga?

Miłość prawdziwa zdąża do czynu; do czynienia drugiemu dobrze. Stąd słusznie filozofja określa akt miłości, jako *„chcenie dobra dla kogoś"* — *„Velle alicui bonum"*. Kochać to znaczy chcieć drugiemu dobra.

Należy więc w miłości odróżniać dwa składniki; dobro, które chcemy dla kogoś, oraz tego, dla kogo tego dobra chcemy. Jeśli „tym kimś", dla kogo chcemy dobra, jesteśmy my sami, nasza osoba, wówczas mamy do czynienia z miłością interesowną, egoistyczną. Jeśli natomiast „tym kimś", jest ktoś inny, będzie to miłość bezinteresowna, miłość życzliwości.

Przyjaźń jeśli ma być prawdziwą przyjaźnią musi być miłością bezinteresowną. Tam, gdzie jest miłość interesowna, nie można mówić o prawdziwej przyjaźni.

Życzliwość to najważniejsza cecha przyjaźni.

Ona „jest przelewaniem własnego „ja“ na innych. Stawiamy innych w miejsce własnego „ja“. Postępujemy tak, jakbyśmy pragnęli, by postąpiono z nami. Zamieniamy się z nimi na miejsca. W danej chwili staje się nam nasze „ja“, kimś drugim, a ów drugi naszem własnem „ja“ (O. Faber, Dobroć).

Taką miłością życzliwości mamy kochać Boga. Jest to drugi warunek przyjaźni.

Życzliwość względem Boga przebierze nieco inną formę, niżeli życzliwość względem bliźnich.

Życzliwość prawdziwa względem bliźnich przybiera nazewnątrz formy dobroczynności, zdąża ze swej natury do czynów, do ofiar, do poświęcania się za innych, lecz nie zawsze, ale tylko wtedy, gdy bliźni nasz jest w potrzebie, a my w możności przyjścia mu z pomocą. Jeśli brak jednego, albo drugiego, wówczas życzliwość ogranicza się do strony wewnętrznej ; do radości ze szczęścia bliźniego, lub współczucia z nim w niedoli, do pragnienia, by szczęścia posiadanego nie utracił, lub je więcej jeszcze powiększył.

Podobnie rzecz się ma z naszą życzliwością względem Boga. Ponieważ Bóg jest pełnią doskonałości i szczęścia, niczego od nas nie potrzebuje. My nie możemy Go wcale uczynić szczęśliwszym ! Z tego jednak nie wynika, że nie możemy mieć miłości życzliwości względem Niego.

Owszem, możemy ją mieć najpierw w głębi duszy, radując się tem, że Bóg istnieje, że jest

Bogiem, że jest pełen szczęścia, że nic i nikt tego szczęścia nie może Mu odebrać.

Następnie ta miłość wewnętrzna może także iść do czynu. Bóg sam wprawdzie nie potrzebuje nas ani naszych czynów, potrzebują ich jednakże sprawy Boże, Jego chwała zewnętrzna; potrzebują ich przyjaciele Boga — bliźni.

Kochając Boga prawdziwie, będziemy dbali o Jego chwałę, będziemy troszczyć się o nią, zwalczać to wszystko, co sprzeciwia się czci i woli Bożej i t. d. Gorliwość o chwałę Bożą, to jeden z pierwszych skutków prawdziwej i bezinteresownej miłości życzliwości.

Kochając Boga prawdziwie, będziemy dalej kochać to wszystko, co jest Boże, to wszystko, co Bogu jest drogiem, będziemy kochać przyjaciół Bożych. Przyjaciółmi Bożymi (jeśli nie są aktualnie, to mogą niemi zostać), są wszyscy bliźni.

Miłość Boga i bliźniego, to jedna i ta sama cnota. Najpierw zdąża ona do Boga samego w sobie, a następnie rozszerza się na bliźnich, kochając ich przez wzgląd na Boga. Motywem miłości bliźniego jest Bóg sam i dlatego ona zawsze idzie w parze z miłością Bożą. Jednej od drugiej nie można oddzielić. Miłość bliźniego jest najlepszym sprawdzianem miłości Bożej. *„Kto mówi, że miłuje Boga, a brata swego nienawidzi, kłamcą jest. Kto bowiem nie miłuje brata swego, którego widzi, jakże może miłować Boga, którego nie widzi“* (I Jan 4, 20).

Jeśli chcemy się przekonać, czy Boga prawdziwie miłujemy, zapytajmy się, czy miłujemy bliźniego? Jeśli sumienie nam powie że tak, możemy sobie powiedzieć, że Boga kochamy, gdyż *„jeśli miłujemy się wzajemnie, Bóg w nas mieszka, a miłość Jego doskonałą jest w nas“* (I Jan 4, 12).

Miłość bliźniego przez wzgląd na Boga, ma się zacząć od nas samych.

Kochać siebie należycie i w sposób nadprzyrodzony, jest może rzeczą najtrudniejszą. Powtarzam, należycie, to znaczy przez wzgląd na Boga, gdyż, jeśli chodzi o miłość naturalną, ona nam jest wrodzoną. Nie można nie kochać siebie samego.

Kochając Boga miłością życzliwości, będziemy dbać o to, byśmy w oczach Boga byli takimi, jakimi Bóg chce nas widzieć. Bóg zaś wyraźnie objawił Swoją wolę względem nas: *„Świętymi bądźcie, bom Ja Święty jest“* (Lcz. 11, 44), — *„Świętymi bądźcie, bom Ja Święty jest Pan, Bóg wasz“* (Lcz. 19, 2), — *„Poświęcajcie się, a bądźcie świętymi* (20, 7), — *Albowiem wolą Bożą jest poświęcenie wasze“* (I Tess. 4, 3). Bóg życzy sobie, byśmy byli świętymi. Jako wzór świętości, podaje nam Siebie Samego *"Samą Świętość", „Bom Ja Święty jest“.*

Kochając Boga, będziemy kochać siebie w Bogu, troszcząc się przedewszystkiem o własne dobro duchowe. A więc przez wzgląd na Boga, będziemy dbać o głębię naszej duszy. By tam wszystko było jak należy. Będziemy poskramniać

wszystkie odruchy skażonej natury: pychy, zazdrości, łakomstwa, zmysłowości, niechęci i t. d. Niedość na tem. Nie ograniczmy się tylko do strony negatywnej. Nietylko będziemy wyrywać, ale przedewszystkiem będziemy sadzić, zaszczepiać, pielęgnować cnoty. *„Przyobleććież się tedy jako wybrani Boży, święci i umiłowani we wnętrzności miłosierdzia, w dobrotliwość, w pokorę, w cichość, w cierpliwość. Jedni drugich znosząc i odpuszczając sobie. Jeśli kto ma skargę przeciw komu, jak i Pan wam odpuścił, tak też i wy“* (Kol. 3, 13).

Oto jaką powinna być nasza miłość Boga, by mogła zasługiwać na miano przyjaźni.

Ma ona być bezinteresowną, szukającą Boga, a nie własnego dobra.

Ma to być miłość życzliwości.

(dn.)

O. Romuald Kostecki O. P.

TEMPORA MUTANTUR...

„Czasy się zmieniają“, powiedział 2000 lat temu Owidjusz, — „i my się zmieniamy razem z niemi“.

Te słowa rzymskiego poety nasuwają się mimowoli czytającemu znakomite dzieło Emila Ollivier[1]), p. t.: „*L'Eglise et l'Etat en Concile du Vaticon*“. Poprostu wierzyć się nie chce, że 65 lat temu ogłoszenie dogmatu nieomylności Papieża, który dziś nikomu nie sprawia trudności (chyba temu, co nie wie, na czem on polega!) mogło wywołać taki sprzeciw ze strony katolików, i to jakich! Biskupów, zakonników, szermierzy o wolność i honor Kościoła, ludzi których nauczono nas czcić i szanować jako „sztandarowych...“

Dupanloup, Gratry, Montalembert, Darboy i wielu, wielu innych! Pierwszy wielki biskup Orleanu, wymowny rzecznik kanonizacji Joanny d'Arc. Drugi — słynny Oratorjanin, wielki przyjaciel Polski, któremu zawdzięczamy znane powiedzenie: *L'Europe est en état de péché mortel depuis le partage de la Pologne*“. Europa jest w stanie grzechu ciężkiego od czasu podziału Polski. Trzeci — rycerski obrońca Irlandji i Polski w parlamencie francuskim, autor ślicznego żywota „*Św. Elżbiety Węgierskiej*“ i broszury sympatyzu-

---

[1]) Sławnego ministra Napoleona III, zmarłego w późnej starości w 1913 r.

jącej z naszem powstaniem styczniowem, p. t. *„Unde nation en deuil"*. Czwarty — arcybiskup Paryża, który w niespełna rok potem miał zginąć męczeńską śmiercią, rozstrzelany przez Komunę jako zakładnik, w maju 1871 roku.

Te wypadki są tak blisko nas, że żyją jeszcze ludzie, którzy je pamiętają.

Możnaby myśleć, że Emile Ollivier przedstawia fakty w niewłaściwem świetle, (choć nie był niechętny religji ani Kościołowi). Ale w wielkiem dwutomowem życiu Dom Guéranger'a przez jego następcę Dom Delatte, opata z Solesmes, czytamy to samo, a biografowie Montalemberta i Ojca Gratry[2]), mimo widocznej chęci zatuszowania niefortunnej roli swych bohaterów w tej sprawie, nie mogą ich całkowicie wybielić.

W dzień św. Piotra i Pawła 1868 r. Ojciec św. Pius IX zwołał uroczystą bullą Sobór powszechny na dzień 8-go grudnia następnego roku, do Rzymu. Był to pierwszy Sobór od 300 lat, t. j. od Soboru Trydenckiego.

Fakt ten był sprawą czysto religijną; zdawałoby się, że należała ona wyłącznie do duchowieństwa i interesowała tylko katolików. Tymczasem zakotłowało się w całej Europie: rządy krajów katolickich i niekatolickich, wierni i niedowiarkowie, sfery duchowne i sfery polityczne, — wszyscy dyskutowali na temat Soboru. Wie-

---

[2]) Lecanuet i Perraud.

dziano bowiem, że niezawodnie będą tam uroczyście potępione nowoczesne teorje filozoficzno-religijne, już napiętnowane jako błędne przez *„Syllabus"*, i że ma być ogłoszony dogmat o nieomylności Papieża. Kwestje te dyskutowano po dziennikach, po kawiarniach, po salonach, odkładając na razie na bok konflikty polityczne i horoskopy wojenne. Broniono namiętnie „za" i „przeciw" nieomylności; nawet kobiety, zwłaszcza damy z wielkiego świata rzymskiego, zwane żartobliwie „filarami Kościoła", lub „matrjarchami", urządzały w swych pałacach prawdziwe wiece, gdzie wrzała zacięta dyskusja: „Nikt nie przypuszczał, — pisze autor współczesny, — że tylu jest na świecie teologów!"

Bulla indykcyjna nie podała, rozumie się, spisu tematów, które miały być rozpatrywane przez Sobór, a już prasa „dobrze poinformowana" o tem rozprawiała, już pojawiały się rozmaite publikacje omawiające prace soborowe przed Soborem. Naczelne miejsce zajęła książka Mgr. Maret, biskupa tyt. Sury i dziekana fakultetu teologicznego w Paryżu, p. t. *„Du Concile général et de la paix religieuse"*. Autor, stojąc na stanowisku gallikańskiem, rozpatruje w niej dwie teorje odnośnie do władzy Papieża: monarchję konstytucyjną i monarchję absolutną; aby utrzymać rzekomo zagrożoną równowagę między papieżem a episkopatem (i to było osią broszury ks. Maret) poleca on perjodyczne zwoływanie Soborów co 10 lat: środek nie nowy, bo już zalecany przez Sobór w Konstancji, w XV wieku,

a — jak każdy osądzić może, — niewykonalny.

Natychmiast podniosły się głosy potępiające to dzieło, co mimo tytułu „o pokoju religijnym" wnosiło zamęt w umysły i rzucało żagiew niezgody. Nieustraszony biskup z Poitiers, późniejszy kardynał Pie, uznał, że książka zawiera zdania niezgodne z teologją katolicką, a do samego autora napisał, że „tendencje, które ona objawia, głęboko go zasmuciły". Manning, arcybiskup westminsterski, (też późniejszy kardynał), wykazał, ile w tem piśmie jest błędnych wywodów, co też uczynił gorący szermierz katolicyzmu, Ludwik Veuillot w swoim dzienniku *„L'Univers"*. Gruntowną odprawę dał księdzu Maret znakomity opat benedyktyński Dom Prosper Guèranger w dziele: *„De la Monarchie pontificale, à propos du livre de Mgr. l'Evêque de Sura"*. Na 300 stronnicach zbija zwycięsko dwa tomy swego przeciwnika. Zaproszony na Sobór watykański, jako przełożony generalny kongregacji benedyktynów francuskich, Donc Guèranger nie mógł się wybrać do Rzymu dla zdrowia, lecz książką swoją, napisaną w Solesmes w przeciągu kilku zaledwie tygodni, „większe oddał usługi Soborowi, — mówi kardynał Pitra, — niż gdyby brał w nim osobisty udział".

Smutny był również list otwarty do kleru ks. Dupanloup, biskupa Orleanu, głowy opozycji przeciw ogłoszeniu dogmatu nieomylności; mawiano o nim, że „przemawia do biskupów, jakgdyby był kardynałem; do kardynałów jakgdyby był Papieżem, a do Papieża jak gdyby był Du-

chem Świętym"[3]). Tem niespodziewanem wystąpieniem ośmielił Dupanloup formujące się w całym świecie wojsko *antyinfallibilistów,* a sobie zjednał to niepożądane odznaczenie, że dzienniki liberalne i masońskie nie szczędziły mu pochwał.

Hr. de Montalembert zaś napisał list do ks. Döllingera, profesora z Monachjum, późniejszego odstępcy, winszując mu dzieła *„Der Papst und das Concil",* podpisanego wprawdzie *Janus,* ale którego ów „Luter XIX-go wieku" był niezaprzeczonym autorem. „Z za Renu — pisze Montalembert, — przychodzi nam dziś światło. Niemcy zostały wybrane przez Opatrzność, aby przeciwstawić tamę temu potokowi niewolniczego fanatyzmu, który nam grozi zalewem".

Nie minęło kilka miesięcy, a „Janus" znalazł się na Indeksie.

Najbardziej niefortunne było może wystąpienie ex-oratorjanina O. Gratry, znanego filozofa i członka Akademji francuskiej. Wystosował on cztery listy otwarte do Mgr. Deschamps, arcybiskupa z Malines, jednego z głównych *infallibilistów.* W pierwszym uderza w ton proroczy; pisze rzekomo „na rozkaz Pana naszego Jezusa Chrystusa", i wywleka sprawę papieża Honorjusza I (wiek VII) twierdząc, że pobłądził w wierze i nauczał monotelizmu. W drugim oskarża Rzym o sfałszowanie Brewjarza, wymazując zeń potępienie tegoż Honorjusza przez Sobór VI ekumeniczny; trzeci komentuje bullę Pawła IV prze-

[3]) Maynard: „Mgr. Dupanloup et son historien M. Lagrange".

ciwko heretykom i rozwodzi się nad niebezpieczeństwem władzy absolutnej dla papiestwa. W czwartym liście, wydanym znacznie później, bo na miesiąc przed ogłoszeniem dogmatu, O. Gratry opuszcza ofenzywę i nawołuje do zgody.

Po pierwszym liście konsternacja była wielka w obozie infallibilistów: zdawało się, że wymowny akademik „zabił nieomylność", aby użyć wyrażenia monsignora de Mérode. „O. Gratry zwarjował!" powiedział ktoś. „Możliwe, odrzekł prałat, — ale byłem wczoraj w domu obłąkanych; jeden z chorych, warjat prawdziwy, zabił dozorcę. Pewno, że był obłąkanym, ale dozorca postradał życie".

Dom Guéranger wziął powtórnie pióro do ręki[4]) i zbił na miazgę twierdzenia O. Gratry swą potężną logiką i niezrównaną znajomością historji pierwszych wieków Kościoła. Wykazał, że exoratorjanin pomylił się zupełnie w sprawie Honorjusza i monoteletów; że Brewjarz Rzymski nie istniał wcale przed św. Piusem V, i że bulla Pawła IV ma znaczenie wyłącznie prawne i nie wkracza bynajmniej w dziedzinę nieomylności. Zebrani na Sobór Ojcowie czytali ze zdumieniem wykaz pomyłek, anachronizmów i innych „byków" O. Gratry, a jeden z biskupów francuskich, znany z ciętego dowcipu, miał powiedzieć: „Jeżeli O. Gratry nie ponumerował swoich kości, to nie wiem jak je odnajdzie na Sąd Ostateczny!"

---

[4]) „Défense de l'Eglise romaine contre les accusation du R. P. Gratry".

Emile Ollivier nakreślił znakomitą paralelę między tymi dwoma mężami, tak różnymi pod każdym względem: i umysłowości, i charakteru i talentu. Wreszcie kończy tak: „Wynik spotkania tych dwóch wybitnych mężów na terenie teologicznym był do przewidzenia: jeden, matematyk podszyty mistykiem, którego rozumowania przechodziły w hymny, którego pewniki przybierały formę ekstazy, a wszystkie idee zamieniały się w kontemplację — będzie zapewne w tej walce wymowny, ujmujący, ale zuchwały, nierozważny i nieścisły. Drugi, mniej błyskotliwy i porywający, będzie uczonym, solidnym, doskonale poinformowanym, dokładnym i nieubłaganie logicznym, — i można się obawiać że, jeżeli lotny Oratorjanin nie wymknie się na czas na swych serafinowych skrzydłach, to legnie niezawodnie pod celnem uderzeniem maczugi potężnego Benedyktyna“ (Tom II, rozdz. 6).

Nie mówimy tu o namiętnych artykułach antyinfallibilistycznych w katolickim miesięczniku „Correspondant“, podpisanych tak katolickiemi nazwiskami jak Montalembert, hr. de Falloux i innych. Ten ostatni zabrnął nawet tak daleko, że śmiał powiedzieć, iż „Kościół potrzebuje swego roku 1789, aby odnowić swą konstytucję“.

Polemika zawiodła, — trzeba było chwycić się innych środków. Próbowano obstrukcji; nużono Ojców Soboru, w upalne już dnie rzymskiego maja, niezliczonemi przemówieniami; spodziewano się śmierci trochę niedomagającego Papieża; wreszcie przywoływano życzeniami jakąś nie-

przewidzianą katastrofą — rewolucję, inwazję włoską i t. p., która byłaby pociągnęła za sobą odroczenie Soboru i odwleczenie sprawy ogłoszenia dogmatu nieomylności *ad kalendas Graecas.* Starano się nawet o interwencję władz świeckich, która jedna mogła niedopuścić do zapadnięcia grożącej gallikanizmowi i liberalizmowi decyzji. Emil Ollivier, ówczesny minister Napoleona III, ciekawe w tym względzie czyni rewelacje: mówi o biskupach odwołujących się w Paryżu do ramienia świeckiego, aby ukróciło wolność Kościoła. Wybrano O. Gratry jako delegata opozycji, aby poparł u cesarza projekt *ultimatum,* który rząd miał wystosować do Rzymu. Napoleon III naradził się z ministrem Guisot; ten, chociaż protestant, odradził cesarzowi interwencję. „Najjaśniejszy Panie — rzekł Guisot — bywają trudności, które wtedy tylko istnieją, jeśli się je przyjmuje; niech Wasza Cesarska Mość nie przyjmuje tej trudności".

„Masz Pan słuszność", odrzekł cesarz. Przyjął O. Gratry bardzo grzecznie, ale odmówił stanowczo interwencji, w czem go miały naśladować wszystkie gabinety europejskie, wzorujące się na Tuilerjach.

Cóż dziwnego, że politycy i protestanci stawali w obronie wolności Kościoła, jeśli właśni jego synowie godzili nań?

E. Ollivier opowiada dalej, że biskup Dupanloup udał się też do niego z prośbą o interwencję dyplomatyczną na rzecz mniejszości, a że arcybiskup paryski w liście do Napoleona III skarżył

się na Papieża, ograniczającego rzekomo wolność Soboru, i radził odwołać ambasadora przy Watykanie, aby swym reklamacjom nadać tem większą sankcję.

W odpowiedzi na to, minister cesarski wystosował instrukcję do margrabiego de Banneville, ambasadora w Rzymie, polecając mu zupełną abstencję wobec spraw soborowych.

Tymczasem walka trwała w Rzymie i poza Rzymem. Antyinfallibiliści utworzyli komitet międzynarodowy, mającyześrodkować działanie pojedynczych grup; mnożyły się broszury, adresy, artykuły, szermujące za i przeciw. Wzburzenie podsycały nieprzychylne Kościołowi czasopisma, bałamucąc umysły niedorzecznemi baśniami, jako to: „że orzeczenie nieomylności papieskiej będzie przyznaniem mu wszechwiedzy i rodzajem bałwochwalstwa; — że nieomylność ta rozciągać się będzie na wszystko, co Papież powie, tak że urojenia swoje będzie mógł podawać za dogmata; — że takowa wytrąci z rąk panujących wszelką władzę, bo Papież będzie mógł składać ich z tronu i uwalniać poddanych od przysięgi, — biskupów zaś pozbawi wszelkiej powagi i zmieni ustrój Kościoła, a natomiast odda w ręce Papieża i Jezuitów moc nieograniczoną, której łatwo nadużywają na szkodę cywilizacji i postępu“[5]).

Takie baśnie znajdowały tem łatwiej wiarę, że sami katolicy liberalni, nawet profesorowie

[5]) Ks. biskup Pelczar „Pius IX i jego pontyfikat“, t. II, str. 521.

teologji, występowali jako zacięci przeciwnicy nieomylności papieskiej.

Najsmutniejszem było może wystąpienie hr. de Montalembert: na kilka dni przed śmiercią, 28 lutego 1870 roku (a miał umrzeć 13-go marca) ogłosił list publiczny w *„Correspondant"*, powtórzony skwapliwie przez wszystkie czasopisma francuskie, pełen pochwał dla biskupa Dupanloup i ks. Gratry, a pełen inwektyw dla t. zw. „ultramontanów", którym nie waha się zarzucić, że chcą „nałożyć jarzmo Kościołowi Bożemu, na hańbę Francji katolickiej, a co gorsza z wielkiem niebezpieczeństwem dla dusz... że składają na ofiarę całopalną sprawiedliwość i prawdę, rozum i historję przed bożyszczem, które sobie postawili w Watykanie..."

„L'idole du Vatican!" — potworne te słowa napisał na łożu śmierci ten, który przez tyle lat tak dzielnie bronił religji, Kościoła, papiestwa, — którego sam Pius IX nazwał kiedyś na pamiętnej audjencji „prawdziwym szermierzem prawdy", un vero campione...

Pius IX zasmucił się wielce tym listem, a jeszcze bardziej tak rychłą po nim śmiercią autora. Kazał za jego duszę odprawić nabożeństwo żałobne, na którem sam był obecnym, a potem rzekł: „Umarł człowiek, który niegdyś oddał Kościołowi największe usługi. Nie wiem jakie były ostatnie myśli, ostatnie słowa jego. To jedno wiem... że ten człowiek miał potężnego wroga — pychę (superbia)".

Dodać jednak należy, że w papierach zmarłego znaleziono później dokument jego ręką pisany, iż na wypadek orzeczenia przez Sobór dogmatu nieomylności, poddaje się jego wyrokom, i wszystkie zdania przeciwne, przez siebie wypowiedziane, odwołuje.

Namiętniejszą i groźniejszą była agitacja w Niemczech „gdzie się oparła nietyklo o zastarzałą nienawiść protestantyzmu, ale także o pychę pewnej liczby profesorów uniwersyteckich, zwłaszcza ich przywódzcy Döllingera...“[6]) Ten wydał w styczniu 1870 r. jakby manifest p. t. *„Einige Worte über die Unfehlbarkeitsadresse“*, w którym odrzuca naukę o nieomylności, jako nieugruntowaną w tradycji; w marcu zaś uchylił bardziej jeszcze maski, stawiając „umiejętność niemiecką“ wyżej niż powagę Kościoła. Już wtedy właściwie zeszedł Döllinger na manowce herezji i stał się „papieżem monachijskim“, wokoło którego skupiło się wszystko, co w Niemczech było wrogie Rzymowi.

Wśród tego zamętu Pius IX zachowywał niezachwiany spokój i właściwą sobie pogodę ducha. Raz miał powiedzieć żartobliwie: „Sobór ma trzy okresy; pierwszy należy do szatana, który stara się wszystko zepsuć, — drugi do ludzi, którzy do wszystkiego wprowadzają zamieszanie, — trzeci do Ducha Świętego, który ma ostatnie słowo i wszystko wspaniale kończy“.

W tę trzecią fazę zdawał się teraz wchodzić Sobór Watykański; schemat *de fide* przeszedł

[6]) Pelczar, loc. cit.

jednomyślnie, a w dwa dni potem, 23-go kwietnia, większość biskupów wystosowała do Papieża naglące *postulatum* na piśmie, żądając wniesienia na kongregację generalną schemat o prymacie Papieża i jego nieomylności.

Wtedy biskup orleański Dupanloup uczuł się powołanym do interwencji: „Nie chciałbym zdradzić Stolicę świętą i Kościół, milcząc w tak niebezpiecznej chwili; dlatego śmiem z całem uszanowaniem, ale też z całą szczerością, ostrzec Ojca Świętego póki czas, aby oszczędzić Jemu i Kościołowi nieszczęść, które mogłyby się zamienić w klęskę dla całego chrześcijaństwa". Jednocześnie proponował Piusowi IX, aby utworzył komisję złożoną z kilku biskupów z każdej narodowości, „doświadczonych, bezstronnych, nie lękających się wypowiedzieć prawdę". Oczywiście nie wątpił, że będzie należał w pierwszym rzędzie do tych wybrańców.

Pius IX odpowiedział na to brewem z 2-go maja, w którem w imię miłości swej ojcowskiej dla biskupa Orleanu prosi go, aby niezbyt polegał na własnem zdaniu, zwłaszcza w tym wypadku, gdyż jest w niezgodzie z opinją większości biskupów i całego kleru katolickiego. Miłość prawdy i troska o dobro Kościoła są obowiązkiem episkopatu; wolno Ojcom Soboru swobodnie rozprawiać pomiędzy sobą, przewidywać trudności i zarzuty jakie dana sprawa może wywołać. Ale usiłować wszelkiemi sposobami narzucić wszystkim własne swe przekonanie, —

to zapominać, że Duch Boży rządzi Kościołem i kieruje decyzjami Soboru.

W tydzień potem Mgr. Pie, biskup z Poitiers, późniejszy kardynał, otworzył dyskusję wspaniałym referatem, który porwał całe audytorjum. O. Gratry, który obiecywał piąty list przeciwko nieomylności, zaniechał tego zamiaru. Mgr. Darboy, arcybiskup paryski, widząc, że antyinfallibiliści się chwieją, wziął pod swój patronat podłą broszurę „*Ce qui se passe en Concile*“ (Co się dzieje na Soborze) i pisał do Napoleona III: „Możnaby jeszcze przybyć na czas, aby przeszkodzić temu, co się ma stać“.

Debata generalna zajęła 14 posiedzeń soborowych; wysłuchano 65-ciu mów, które, zwłaszcza ze strony mniejszości, powtarzały to samo aż do znudzenia. Niektórzy Ojcowie, przeciwni ogłoszeniu nieomylności, proponowali odroczenie Soboru spowodu upałów letnich. Ale propozycja się nie przyjęła i 6-go czerwca rozpoczęła się debata szczegółowa, która zajęła 18 posiedzeń. Występowali z obu stron najznakomitsi mowcy: koryfeuszami antyoportunistów byli kardynałowie Rauscher, Schwarzenberg, Mathien, arcybiskupi Darboy, Haynald, biskupi Dupanloup, Rivet, Maret, Hefele, Strossmayer. Między obrońcami nieomylności wymienić należy kardynałów Pitra i Cullen, arcybiskupów Manninaga i Deschamps, biskupów Pie, Mermillod i t. d.

Czem to wytłumaczyć, że 4-go lipca 42 mówców, zapisanych na liście, (a między którymi byli najzaciętsi oponenci, jak arcybiskup Paryża, bi-

skup Orleanu i biskup Djakowaru) zrzekło się głosu? Że przywódcy mniejszości nie doczekali przybycia depeszy, która tego samego dnia została im wysłana z Paryża, a zawierała te słowa: „Trzymajcie się jeszcze parę dni, Opatrzność zsyła wam niespodziewaną pomoc...?" Tą „niespodziewaną pomocą" była wojna, uznana już za nieuniknioną w kołach oficjalnych, a której wypowiedzenie, oczekiwane tam z godziny na godzinę, miało niebawem rozproszyć biskupów i byłoby odroczyło definicję nieomylności do niepewnej przyszłości.

Pojawił się pamflet p. t. *„La dernière heure du Concile"*, pełen potwarzy i napaści na Sobór i Papieża: ogromna większość Ojców wszelkich opinij potępiła go z oburzeniem. 15-go lipca delegacja oponentów z Mgr. Dupanloup na czele udała się do Piusa IX, prosząc, aby do dekretu dodano trzy tylko słowa (któreby uratowały galikanizm): *innixus testimonio ecclesiarum,* czyli że wyroki Papieża są nieomylne, jeżeli on się opiera na podaniu kościołów. Za tę cenę biskup orleański obiecywał jednomyślność. Proponowaną przez niego formułę przedłożono nazajutrz Soborowi, który ją znaczną większością głosów odrzucił. Wtedy Dupanloup uczynił ostatni, prawdziwie rozpaczliwy wysiłek: Dnia 17-go lipca 1870 roku napisał list do Piusa IX podsuwając mu „sposób bardzo prosty, aby odwrócić straszliwe klęski, jaki zagrażają Kościołowi dzięki definicji nieomylności": zrzec się dobrowolnie tego zaszczytu i nie potwierdzić dekretu soborowego...

Przeczytawszy to zdumiewające pismo, Pius IX rzekł tylko: „Mi prende per un ragazzo?" (czy on mnie ma za dzieciaka?).

Tego samego dnia oponenci z Mgr. Dupanloup na czele (21 biskupów francuskich, 25 niemieckich i austrjackich, 3 amerykańskich, 2 angielskich i 2 włoskich) opuściło Rzym „nie zmieniwszy swoich przekonań, a nie chcąc na sesji publicznej głosować *„non placet"*[7]).

Nazajutrz, 18-go lipca 1870, odbyło się ostateczne głosowanie: na 535 Ojców dwóch tylko powiedziało *„non placet"*, dowodząc przez to samo zupełnej wolności Soboru do ostatka — co wrogom Kościoła było bardzo nie na rękę. —

Na temże posiedzeniu miała miejsce uroczysta proklamacja dogmatu nieomylności „wśród huku grzmotów i blasku piorunów, co obecnym przypominało ogłoszenie prawa na górze Synai" (Pelczar).

Na drugi dzień wybuchła inna burza: wojna francusko-pruska.

Sobór został zawieszony i dotąd nie jest zamknięty.

S. M. R.
Niepokalanka.

---

[7]) Wszyscy oni po ogłoszeniu dogmatu przyjęli go bez zastrzeżeń.

O MĘSTWIE CHRZEŚCIJAŃSKIEM.

WSTĘP. Kościół św. katolicki posiada w dziejach swoich kartę, jedną z najchlubniejszych, która w samem zaraniu jego istnienia przepięknie się rozwija a w ciągu istnienia Kościoła coraz to nową chwałą go okrywała, dzisiaj wreszcie lśni wielkim blaskiem na ziemiach Meksyku i Rosji, na terenach misyjnych i w krajach chrześcijańskich — kartę *męczeństwa.* Zapewne miłość, nadzieja i wiara świecą w każdym heroicznym wyczynie męczeńskim największe swoje triumfy na ziemi. Jedna jednak cnota kardynalna odpowiada jemu w sposób szczególny, a jest nią *męstwo chrześcijańskie*[1]).

Pojęcie męczeństwa bowiem można rozciągnąć i na ową niekrwawą coprawda, ale cichą, stałą i wytężoną walkę z codziennemi trudnościami życia duchownego. Czyż nie mówimy często o męczeństwie szarej zawodowej pracy i cichego cierpienia, o męczeństwie badacza naukowego i kochającej matki? Zapewne i te sposoby mówienia są uzasadnione faktem, że cnota męstwa chrześcijańskiego, pierwszorzędnie skuteczna w stosunku do utraty życia, jednak i wobec mniejszych trudności posiada szerokie pole swego zastosowania.

---

[1]) Zapewne nie bez znaczenia jest fakt, że Dzieje Apostolskie charakteryzują pierwszego męczennika młodego Kościoła, św. Szczepana, słowami: *„pełen łaski i męstwa“* (6, 8).

Przeciwności zaś życia naszego nie ustaną aż dopiero w chwili śmierci: tak długo bowiem, jak żyjemy na ziemi, będziemy zawsze borykać się z trudnościami, które będą przeciwstawiać się naszemu dążeniu do dobra, do doskonałości, do nieba. A zatem bardzo ważną rzeczą dla dobrego rozwoju naszego życia duchownego jest, poznać, pokochać i stale praktykować cnotę męstwa chrześcijańskiego.

1. ISTOTA MĘSTWA NADPRZYRODZONEGO. Z dwojakiej przyczyny człowiek może zboczyć z prawej drogi doskonałości chrześcijańskiej: raz spowodu tego, że zmysły pożądliwe przyciągają w sposób sprzeciwiający się poprawnemu rozumowi wolę do przedmiotów ograniczonych czyli do stworzeń, powtóre dlatego, że zmysłowość gniewliwa, reagując na trudności na drodze ku doskonałości się pojawiające, albo załamuje się pod ich naporem albo lekkomyślnie się na nie naraża. Podczas gdy pierwsze źródło grzechu leczy się przez cnotę umiarkowania, drugie usposobienie bywa uporządkowane przez męstwo chrześcijańskie. W znaczeniu ogólnem cnota ta oznacza mocną postawę ducha i jako taka jest jednym z warunków rozwoju każdej cnoty czyli życia duchownego wogóle.

W szczegółowem pojęciu pewnej specjalnej cnoty męstwo chrześcijańskie jest *mocnem, nadprzyrodzonem usposobieniem ducha przy wytrzymaniu i zwyciężeniu ciężkich trudności zwłaszcza niebezpieczeństw życia.* Działa ona w ten sposób, że uśmierza strach i lęk przez przeciwno-

ściami a zwłaszcza lęk przed utratą cielesnego życia. Z drugiej strony porządkuje ona odwagę przy zwyciężaniu trudności. Człowiek mężny tedy nie załamując się nigdy zwycięża smutek zmysłowy. Trudności zaś usuwa w sposób stanowczy i zrównoważony.

A zatem *dwie są czynności znamionujące cnotę męstwa,* najpierw cierpliwe znoszenie ciężkich przeciwności, a powtóre mężne usuwanie trudności piętrzących się na drodze do prawdziwego dobra i doskonałości chrześcijańskiej. Przez częste i stałe dokonywanie wspomnianych czynności zmysłowość gniewliwa człowieka poddaje się coraz to więcej duchowi nie załamując się nigdy a działając w odpowiednim momencie w sposób zrównoważony ku usunięciu trudności i przeszkód życia duchownego. Unika chrześcijanin przez to zarówno tchórzostwa i niecierpliwości jak i lekkomyślności, narażania się i przesadnej odwagi w trudnościach swej walki o koronę niebieską.

2. PRZYMIOTY MĘSTWA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO. Cnota męstwa oznacza się najpierw pewną zasadniczą *orjentacją,* która posiada źródło swoje *w wierze św.,* a która uwydatnia jasno wyższość doskonałości i dóbr duchowych, nadprzyrodzonych, zwłaszcza niebieskiej szczęśliwości nad wszelkiemi dobrami tej ziemi nie wyłączając naszego własnego doczesnego życia. Stąd też mężny chrześcijanin odważnie stawia wszystko, co ziemskie i doczesne w służbę prawdy i miłości Chrystusowej a gardzi nawet własnem życiem ciała,

jeżeli ono miałoby być mu przeszkodą lub trudnością w zdobyciu wiecznego żywota. Pod wpływem zaś *nadziei* chrześcijańskiej wola jego nastawia się mocno na Boga — Wieczną Nagrodę naszą i z Nim się łączy, jakkolwiek jeszcze trudności i przeciwieństwa piętrzą się na drodze ku doskonałemu z Nim zjednoczeniu. Przez to podtrzymuje się też w chrześcijaninie *moc* ducha do zwyciężenia przeszkód i niebezpieczeństw zagrażających postępowi jego w życiu duchownem. Nadewszystko jednak *miłość* chrześcijańska jest źródłem męstwa, raz dlatego że stanowi ona „formę" ożywiającą wszystkie cnoty chrześcijańskie powtóre jednak i spowodu tego, że łącząc nas bezpośrednio z Bogiem — najwyższym Dobrem i ostatecznym Celem naszym — pozwala nam dla Boga gardzić dobrami tej ziemi nie wyłączając doczesnego życia naszego, aby zdobyć sobie doskonałość nadprzyrodzonych cnót.

Męstwo chrześcijańskie jest więc z istoty swej pełne wiary, ufne w łaskę Bożą i przepełnione miłością nadprzyrodzoną Boga i bliźniego. Niezliczone przykłady chwalebnej śmierci męczenników, św. Apostołów Piotra, Pawła, Jana i Andrzeja, św. Wawrzyńca, św. Cecylji, św. Agnieszki podają tego niezbite dowody. Wreszcie i cnoty moralne — zwłaszcza *pokora* i *wielkoduszność* jaśnieją w związku z męstwem chrześcijańskiem nowym, niebieskim blaskiem: pokora ukrzyżowanego św. Piotra i wielkoduszność bohaterskiego św. Wawrzyńca stanowią jaśniejące przykłady

cudownej harmonji, jaka istnieje między cnotami moralnemi a męstwem, w duszy i życiu prawdziwego ucznia Chrystusowego. Z samego opisu czynności męstwa wynika wreszcie, że ta piękna cnota w rozwoju swoim zawiera i cierpliwość i długomyślność i odwagę i energję tak potrzebne przy zwyciężaniu trudności.

3. WZORY MĘSTWA NADPRZYRODZONEGO. Czytając w Ewangeljach św. żywot ziemski Chrystusa Pana, możemy sobie w świetle wiary św. uświadomić, jak wielkie trudności piętrzyły się na drodze życia Boga-Człowieka. Począwszy od okoliczności, że w nocy Bożego Narodzenia Chrystus Pan nie znalazł nawet gospody, w którejby mógł skłonić główkę swoją, poprzez rzeź niewiniątek i skromne warunki bytu świętej rodziny, poprzez trzykrotne zewnętrzne kuszenie ze strony szatana, poprzez niesłychane intrygi, podejścia i przewrotności, któremi wrogowie sprzeciwiali się mu podczas publicznej działalności, poprzez zdradę Judasza i zaparcie się św. Piotra — aż do śmierci krzyżowej ciągnęło się jedno pasmo niebezpieczeństw życia i działania dla Zbawiciela naszego. Toteż trzech ewangelistów podało zgodne świadectwo o męstwie Chrystusa, wobec którego cnota męstwa św. Jana Chrzciciela była, zdaniem samegoż świętego pokutnika, sprawnością niższą i mniejszą (Ew. św. Mateusza 3, 11; św. Marka 1, 7; św. Łukasza 3, 16).

Zaiste męstwo Chrystusa Pana, które zajaśniało tak pięknie podczas jego pobytu jako dwu-

nastoletniego młodzieńca w świątyni i które uwydatniając się cudownie w trudach Jego publicznej działalności i w cierpieniach Jego męki w tak niezrównany sposób zamknęło się w nadprzyrodzonej doskonałości słów „Consummatum est". „Wykonało się", stanowi niedościgniony przykład tej cnoty dla każdego prawego ucznia Chrystusowego: „W świecie ucisku doznawać będziecie, ale ufajcie, Jam zwyciężył świat" (Ew. św. Jana 16, 33).

Po Chrystusie Matka Najświętsza, która ze wszystkich osób ludzkich najściślej była połączona z życiem i śmiercią Jej Boskiego Syna, jest dla nas niezmiernie doniosłym wzorem kardynalnej cnoty męstwa. Mając duszę przeszytą wielką boleścią, współcierpiąc z Synem swoim w czasie Jego ziemskiego żywota trwała Ona niezłamana pod krzyżem z sercem prawdziwie mężnej niewiasty, która heroicznej wierności swej wobec Chrystusa nigdy się nie wyrzekła.

Czyż cichy i pokorny św. Józef w czasie tułaczki betlejemskiej i egipskiej tudzież podczas żywota świętej rodziny w Nazarecie nie świecił jaśniejącym przykładem nadprzyrodzonego męstwa? Czyż św. Jan Chrzciciel gromiąc żołnierzy i faryzeuszów, występując odważnie przeciwko rozpuście Heroda i kładąc w obronie świętości węzła małżeńskiego głowę swoją pod topór katowski nie stanowi wspaniałego wzoru męstwa chrześcijańskiego?

Podobnie każdy święty Pański uśmierzając lęk swej zmysłowości gniewliwej i przezwycięża-

jąc — tak olbrzymie nieraz — trudności na drodze swego życia duchownego posuwał się naprzód na drodze męstwa nadprzyrodzonego, aż wreszcie w męczeńskiej śmierci lub w bolesnem konaniu nie złożył Chrystusowi całopalną ofiarę swego życia doczesnego, by zdobyć przez ostatnią swoją walkę zwycięsko koronę życia wiecznego.

4. PRAKTYKA MĘSTWA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO. Nie każdy z nas będzie mógł Bogu złożyć dowody swego męstwa w sposób czy w rozmiarach praktykowanych przez niektórych świętych Pańskich. Natomiast wszyscy możemy i winniśmy praktykować cnotę męstwa w odnoszeniu do trzech głównych źródeł trudności i niebezpieczeństw dla naszego życia duchownego, mianowicie w stosunku do szatana, do świata i do siebie samego.

Powszechnie wiadomo przecież, że szatan z dopuszczenia Bożego potrafi ciężko doświadczać duszę dążącą do doskonałości. Nieraz namawia on przez dłuższy okres czasu do grzechu albo do opuszczenia się w gorliwości przedstawiając w czarnych beznadziejnych barwach trudności związane z doskonałością cnoty lub malując w ponętnych kolorach, zwodniczych i słodkich, grzeszny czyn jako romantyczne bohaterstwo lub wykwit dobrego serca. Innym razem uderza on na duszę huraganowym ogniem pokus, doświadczeń, wyobrażeń i namów, by niby szturmem zdobyć twierdzę duszy naszej. Czystość, cierpliwość, miłość i wiara są temi cnotami, które zazwyczaj

bywają najwięcej atakowane przez wroga naszego zbawienia. W takich czasach i położeniach trzeba nam z pokorną modlitwą o łaskę Bożą połączyć wytrwałą praktykę męstwa chrześcijańskiego utrwalającą się przez cierpliwe znoszenie wszystkich przeciwności bez załamania się, owszem, przez zniesienie wszystkiego wolą z Chrystusem połączoną i czerpiącą ze zdroju zbawienia siłę i moc przetrwania ciosów nieprzyjacielskich.

Z drugiej strony nie przestaniemy usuwać wszystkie trudności i niebezpieczeństwa przez odważne odrzucanie pokus, przez zlikwidowanie ataków szatańskich zapomocą stanowczego, pełnego zrównoważonej odwagi i świętej pogardy, odrzekania się szatana i spraw jego. Wreszcie będziemy bacznie na siebie uważać, by nie narażać się nigdy lekkomyślnie na pokusy, trudności i okazję do grzechu, natomiast pomni na swoją nędzę i słabość będziemy strzec i zmysły i umysł i wolę, aby szatan nie znalazł w nich żadnego zawinionego przez nas punktu oparcia dla swoich przewrotnych zamiarów. Jak dobitnie zachęca św. Piotr owieczki swoje do ciągłego czuwania nad sobą: „Bądźcie trzeźwi i czuwajcie, albowiem nieprzyjaciel wasz, djabeł, obchodzi i szuka kogoby pożarł; sprzeciwiajcie się jemu mężni w wierze!" (I list 5, 79). Idźmy zatem za radą księcia apostołów i nie ustawajmy poprzez całe życie swoje w mężnej walce z nieprzyjacielem naszego zbawienia, dopóki nie dostąpimy korony chwały niebieskiej!

Poza szatanem jednak i *świat* nastręcza nam dużo trudności na drodze do dobra i doskonałości. Wszakże Chrystus Pan sam przepowiedział uczniom swoim, że żywot ich na ziemi nie będzie bez doświadczeń i trudności: „W świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie, Jam zwyciężył świat“ (Ew. św. Jana 16, 33). Świat zaś, czyli ten zespół ludzi, którzy za Chrystusem nie idą owszem sprawie Chrystusa się sprzeciwiają, sączy najpierw w nasz umysł swoją ideologję niezgodną z nauką i prawdą Chrystusową. Nadto usiłuje on zdobyć wolę naszą dla swego sposobu postępowania, tak pogańskiego i niezgodnego z prawem i miłością Chrystusową. W odnoszeniu się do przeciwności, trudności i niebezpieczeństw, któremi nas świat na każdym kroku prześladuje i gnębi, trzeba nam również cierpliwie wytrzymać powódź szyderstw, obelg, naśmiewań i ciosów, nie załamując się nigdy ale owszem przywiązując rozum, wolę i życie swoje coraz to więcej do światła prawdy i wymogów miłości Chrystusowej i utrwalając się przez to coraz więcej w społeczności mistycznego Ciała Zbawiciela naszego — w Kościele świętym.

Nadto jednak trzeba nam odważnie przeciwstawić życie z wiary i z miłości nadprzyrodzonej ideologji i postępowaniu świata. Niestrudzenie szerzyć trzeba nam i znajomość i zamiłowanie i praktykę życia chrześcijańskiego, by tym sposobem odważnie zwyciężyć zapory, które świat rozwojowi Królestwa Chrystusowego w duszach i w społeczeństwie przeciwstawia.

Wreszcie i w stosunku do świata trzeba nam wystrzegać się lekkomyślnego zaplątania się w sidła jego pojęć, nauk, prawideł, i pociech, by móc być zawsze „nie z tego świata“ duchem i postępowaniem, by zachować się zawsze od złego z niego płynącego chociaż ciałem będziemy musieli w świecie przebywać i związek ze światem utrzymywać. Chrystus Pan bardzo dobitnie wyraził poprawny stosunek chrześcijanina do świata w modlitwie do Ojca niebieskiego za apostołów swoich: „Nie proszę, abyś ich wziął ze świata, ale abyś ich zachował ode złego. Nie są oni ze świata jako i Ja nie jestem ze świata“ (Ew. św. Jana 17, 15-16).

Walczmy więc mężnie, ufni w łaskę Chrystusa-Zwycięzcy, ze światem, jego duchem i postępowaniem, natenczas przyczynimy się bardzo do chwały Bożej, do własnej doskonałości i do rozszerzenia Królestwa Bożego na ziemi.

Nie ulega wątpliwości, że mężna walka ze szatanem i światem należy do najtruniejszych zadań chrześcijańskiego życia na tym łez padole. Jednak jedno zmaganie się jest bezsprzecznie jeszcze o wiele trudniejsze od tamtych — a jest nim mężny bój chrześcijanina ze samym sobą. Walka to trudna, gdyż dochodzi do korzeni, źródeł grzechu w nas samych, mianowicie do samolubnego egoizmu czyli pychy żywota, do pożądliwości oczu i ciała. One to stanowią zapory doskonałości, które nie bez wielkich trudności w szczerości poznane a tylko wielkiemi wysiłkami uśmiercone być mogą.

Jednem z najpoważniejszych niebezpieczeństw na drodze do doskonałości jest doświadczenie nietylko ciągłe ale nieraz gwałtowne tej nędzy i słabości, którą na skutek grzechu pierworodnego obarczeni jesteśmy. Prawda, że uprzytomnienie sobie nędzy swojej pomaga nam wielce w pokorze i ufności ku Bogu (Naśladowanie Chrystusa, ks. I, r. 12). Jednak z drugiej strony jasne poznanie swej grzeszności i słabości może stanowić niebezpieczeństwo popadnięcia w słabostkową małoduszność lub smutną rezygnację i bezczynność. Przeciwko tym bardzo subtelnym i nader niebezpiecznym błędom cnota męstwa chrześcijańskiego prowadzi walkę jedną z najcięższych nie dopuszczając, mimo ciągłych słabości i upadków, nigdy do załamania się dziecka Bożego w obliczu bezustannie powtarzających się dowodów własnej nędzy. Tym sposobem buduje się krok za krokiem owa „moc Ducha“, co wobec ognia i szarzyzny codziennych słabości i niedoskonałości najcięższą próbę swej wytrwałości przechodzi.

Zadanie dla męstwa naszego potęguje się jeszcze, jeżeli zważymy, że w własnej istocie naszej istnieją bardzo poważne przeszkody i niebezpieczeństwa dla doskonałości w postaci nieokiełzanych władz, słabych i wypaczonych przekonań, nieurobionych usposobień, mdłych i niezrównoważonych porywów, tchórzliwych lub lekkomyślnych naleciałości. Do usunięcia tych przeszkód trzeba nam się zapomocą łaski Bożej zabrać z całą zrównoważoną odwagą, którą oznacza się mę-

stwo chrześcijańskie. Schodzą się tym sposobem drogi męstwa chrześcijańskiego ze ścieżkami umartwienia i nadprzyrodzonej pokuty, której wielką wartość św. Jan Chrzciciel a zwłaszcza Chrystus Pan od samego początku swej publicznej działalności tak dobitnie podkreślał (Mat. 3, 2; 4, 17). W tej dziedzinie można się doczekać najcięższych ale i też najszczytniejszych zwycięstw, które zakończą się złożeniem całego jestestwa swego w ofierze Chrystusowi-Królowi.

Wreszcie męstwo chrześcijańskie nakłania nas do tego, byśmy nigdy nie narażali się lekkomyślnie swej własnej słabości, byśmy nie folgowali swoim nieuporządkowanym żądzom, byśmy nie byli wobec siebie samych ani słabostkowym tchórzem ani dufnym zarozumialcem, ani niepoprawnym uczuciowym lekkoduchem, ani człowiekiem podobnym do załamanej trzciny, co tylko bezsilne łzy ronić potrafi nad rzekomym tragizmem swego własnego żywota. Natomiast prowadzi nas męstwo chrześcijańskie do czuwania nad samym sobą, do pokornej i synowskiej bojaźni Bożej, do niedowierzania sobie i do mocnej ufności w Dobroć Ojca Niebieskiego, bez którego wiedzy nam przecież ani włos z głowy nie spadnie (Mat. 10, 30).

Tym sposobem ostatnim wyrazem męstwa chrześcijańskiego tutaj na ziemi jest wielki rozkwit nadprzyrodzony wiary, nadziei i miłości, oraz darów Ducha Św. z niemi połączonych, które sprawiają, że cała zmysłowość gniewliwa, wyleczona, uporządkowana i udoskonalona złoży się

w służbie tej kardynalskiej cnoty w chwili śmierci jako ofiara całopalna do stóp Chrystusa-Króla.

ZAKOŃCZENIE. Określenia ludzi podane przez Mądrość odwieczną, Słowo Wcielone, Chrystusa-Zbawcę posiadają i same w sobie i dla nas nieporównane znaczenie. Nie szczędził On ani słów prawdy ani mocnych zarzutów Swym obłudnym i zacietrzewionym przeciwnikom; z drugiej jednak strony jak wspaniale wyraża się Syn Boży o św. Janie Chrzcicielu a zwłaszcza o męstwie i duchu pokuty jego: „Cóżeście poszli zobaczyć w pustyni? Czy trzcinę przez wiatr poruszoną? Ale cóżeście wyszli zobaczyć? Człowieka ubranego w miękkie szaty? Patrzcie ci, którzy ubierają się w miękkie szaty przebywają w pałacach królów" (Mat. 11, 7-8). Nie chwiejna trzcina ani miękkie ubieranie się były symbolami duszy i ciała św. Jana ale anioł, który odważnie przygotowuje drogi Pańskie i mężnie prostuje wykrzywione ścieżki sumień ludzkich a życie współbraci swoich poddaje światłu prawdy i wymogom miłości Chrystusowej.

My wszyscy, kapłani i świeccy, mamy przez apostolstwo hierarchicznie lub przez udział w niem torować drogi Panu w duszach, w życiu osobistem i w życiu społecznem współczesnej nam ludzkości. I my mamy spełnić posłannictwo analogiczne do misji św. Jana Chrzciciela, mamy zwiastować Chrystusa, Jego łaskę, prawdę, miłość i życie współbraciom naszym. Nie odbędzie się to zapewne ani bez trudności ani bez niebez-

pieczeństw dla duszy naszej czy też dla bliźnich naszych. Boć wysoki jest cel; mianowicie osobiste i społeczne panowanie Chrystusa-Króla w życiu całej ludzkości a walka zapowiada się twarda: krzyż będzie naszym udziałem a korona niebieska nagrodą wieczną. Utrwalmy zatem, udoskonalmy, pogłębiajmy i rozszerzajmy w duszy i w życiu naszem kardynalną cnotę męstwa chrześcijańskiego, stosujmy ją wobec szatana, wobec świata, wobec samych siebie, wobec śmierci i złączmy się z mężnymi żołnierzami zwycięskiej sprawy Chrystusowej w myśl wspaniałego wezwania autora „Naśladowania Chrystusa" (ks. III, r. 56, no 6):

„Hejże bracia, pójdźmy razem, Jezus będzie z nami. Dla Chrystusa przyjęliśmy ten krzyż, dla Chrystusa wytrwamy na krzyżu. Ten który nami dowodzi i poprzedził nas na drodze krzyżowej, będzie wspomożycielem naszym. Patrzcie, Król nasz przed nami kroczy, On będzie dla nas walczył. Idźmy odważnie za Nim, niechaj nikt nie lęka się straszydeł: Bądźmy gotowi mężnie umrzeć w walce ale nie kalajmy chwały naszej występkiem, mianowicie przez to, żebyśmy mieli uciekać od krzyża". Amen.

WZOROWY MŁODZIENIEC.

(w 10-lecie śmierci Piotra Jerzego Frassati'ego).

Od szeregu lat zapoczątkowana przez Ojca św. Akcja Katolicka rośnie z każdym rokiem w liczbę członków, ale mimo to nie znać poprawy stosunków, nie widać plonów pracy tylu tysięcy osób. Nieraz już zastanawiano się w kołach katolickich nad tem, czemu to przypisać. Naogół słyszy się zdanie, całkiem zdaje się słuszne, że do pracy garną się ludzie dobrej woli, ale mało wewnętrznie wyrobieni, a co za tem idzie, o słabych, niestałych poglądach katolickich ; brak nam w Akcji *dobrych* katolików.

Używając przymiotnika „dobry", mam na myśli jednostkę nietylko o głębokich katolickich przekonaniach, ale też pełną zapału wewnętrznego do pracy dla Boga, coś w rodzaju zapaleńców krucjat, lub nawet męczenników pierwszych wieków, jednym słowem, takich katolików, dla których Bóg i Jego chwała byłyby wszystkiem, a miłość Boża jedyną pobudką do oddania chociażby życia dla świętej sprawy.

Ideał takiego człowieka nie jest mrzonką nierealną, bo ukształtowanie go nie wychodzi poza ramy możebności, jedynie wymaga *wyjścia z przyrodzoności,* z tej powszechności natury i bytu ziemskiego, z tej doczesności we wszystkiem: w pracy codziennej, filantropijnej, naukowej, literackiej czy fizycznej, a nawet duchowej. W tem wszystkiem przeciętny człowiek szuka uznania, reakcji swych ludzkich planów, oglądania owoców

pracy, poklasku lub zysku, a nie wyłącznie, jakby być powinno, chwały Boga samego.

Typ idealnego apostoła katolika może i chce stworzyć Bóg i umożliwia dojście do tych szczytów każdemu, kto szczerze pragnie postępu w dobrem. Ze strony człowieka potrzebna jest tylko dobra wola, a przedewszystkiem szczera miłość Boga. Taka miłość, jak mówi św. Augustyn, która zamyka oczy na to, co daje, ażeby je otwierać tylko na to, co bierze.

Już samo szczere, chociażby tylko wewnętrzne wypowiedzenie się i decyzja pójścia przez życie za tem, co jest wyższe, co zbliża do Boga i przynosi Jemu chwałę, rodzi najczystszą miłość Boga i jest zarazem owocem tej miłości. Środkiem zaś jest przynależność do Kościoła katolickiego i czerpanie z niego, jak latorośl z pnia winnego, pełnemi dłońmi tego, co on dać może, t. zn. światła, pomocy i wszelkich łask Bożych.

Kościół katolicki ma przez Chrystusa wyraźnie dane posłannictwo: szerzyć Królestwo Boże na ziemi. On jest tą „drogą“ wiodącą do żywota wiecznego; w tym celu został założony i dlatego jest jakby wykończeniem, jeśli tak można powiedzieć, dzieła odkupienia. Kościół daje świętość i to największą, bo samego Boga w najświętszej Eucharystji. Prowadzi do świętości przez nieprzebrane łaski, któremi szafuje z woli Jezusa Chrystusa i wzmacnia się w swych podstawach przez świętość swoich członków.

I właśnie ta świętość jednostek, przynależ-

nych do Kościoła jest najpewniejszym źródłem Akcji Katolickiej, siłą jego apostolskich poczynań.

Z pełności tych dusz czerpie Kościół coraz to nowe siły, bo one, według słów św. Pawła, cierpieniem i pracą swoją wewnętrzną uzupełniają to, czego niedostawa męce Chrystusowej, a tem samem stają się prawdziwemi apostołami.

Akcja Katolicka jest tylko pewnym odłamem apostolstwa, dostępnym dla wszystkich ludzi dobrej woli. Skuteczność jej zależy od tego, ile w jej członkach będzie szczerej miłości Jezusa. Jeżeli On będzie promieniował z dusz ludzkich, to skutek będzie wielki, bo niema rzeczy, którejby Bóg odmówił sercu, które wszystko złożyło Mu w ofierze. Z własnej bowiem pełni życia wewnętrznego dusza wyda owoce świętości, a idąc z taką duszą miłującą w świat, między ludzi, będzie unosić Boga w środowiska ludzkie, a On za nią będzie wtedy kruszył i nawracał, sił dodawał i przebaczał wszędzie, gdzie tylko łaska Jego z duszy miłującej przeniknie. I więcej się w ten sposób nieraz zdziała, niż przez najwznioślejsze kazania i nauki. Płodność tej pracy na tem głównie polegać będzie, że w skutkach swych duszy miłującej nie znana — czysta będzie jak kryształ i dlatego Bogu najmilsza.

Praca wewnętrzna, przez którą się dochodzi do miłosnego zjednoczenia z Bogiem, wymaga walki i to ciężkiej i wytrwałej, bo „Królestwo Boże gwałt cierpi — i tylko gwałtownicy je porywają“. Ale walka pociąga szlachetne, a szczególnie młode dusze i dlatego widzimy tyle peł-

nych miłości Boga jednostek porywających się do walki o zdobycie tego królestwa. Jednostki nam jednak nie wystarczą, trzeba armji walczących w obronie wiary i Królestwa Bożego na ziemi; wybrane dusze muszą stać się dla nich wodzami, którzy do boju powiodą.

Takim wodzem najwspanialszym dzisiejszych czasów stał się, zmarły przed 10-ciu laty *Piotr Jerze Frassati.* Któż z nas nie słyszał o nim, kto nie czytał jego obszernego życiorysu, spisanego na podstawie wiarygodnych dokumentów, przez jego długoletniego wychowawcę i korepetytora Ks. Cajazzi.

Nie będziemy przytaczać życia Piotra Jerzego, niech je pozna każdy, kto zechce z jego biografji. Tu chodzi nam tylko o wykazanie, jak dalece i w czem był Frassati wodzem młodych katolików — takich, jakich nam dziś najbardziej brak w Akcji Katolickiej.

Zdolny, przystojny, zdrowy i bogaty — miał on wszelkie życiowe warunki po temu, ażeby się stać znanym i cenionym powszechnie młodym człowiekiem salonu, sportowcem, bywalcem światowym, a chociażby i wybitnym uczonym.

Karjerę światową miał otwartą przed sobą, a jednak wszystkie dary Boże naturalne i zdobyte podporządkował duchowi głębokiej wiary, a wszelką pracę zurzytkowywał na zdobywanie jedynie Królestwa Bożego na ziemi, przenosząc miłość Jezusa, nad złudny poklask świata. I właśnie te liczne dary przyrodzone pozwalały Frassati'emu czerpać pełnemi dłońmi dary Boże, aże-

by je na chwałę Boga obracać. A Bóg, który z miłości ubogacił ciało i duszę młodego chłopca, do końca go umiłował, darząc go jeszcze przed śmiercią łaską zjednoczenia.

Piotr Jerzy poznał religję już za młodu w jej właściwym świetle, t. zn. nie jako przedmiot nauki, ale jako unormowanie stosunku stworzenia do Stwórcy i jako pierwiastek, który nas wznosi i uszlachetnia, a przeto zasługuje na najwyższą cześć i miłość.

Od najmłodszych lat zaczął myśleć o tem, jakby swoje życie urządzić, aby ono było pożyteczne i święte. Do takich wniosków dochodzą dusze proste, wzniosłe i konsekwentne. Biorą one życie poważnie i uznane zasady wyprowadzają w czyn. To samo można powiedzieć o Frassati'm: był on prosty i nie uznawał postępowania drogą kompromisów. Dla niego być katolikiem, to znaczyło spełniać dokładnie wszystkie obowiązki, a przedewszystkiem te drobne powinności, z jakich się składa życie codzienne i które pochłaniają od rana do wieczora.

W spełnianiu wzorowem tych szarych, nurzących swą jednostajnością, obowiązków, wykazywał Piotr Jerzy, jak winien katolik żyć wiarą.

Zdawał sobie sprawę z wartości naszej religji i kochał ją szczerze. W jednym z listów do kolegi tak pisze: „Jaka to wielka łaska, że jestem katolikiem. O, jak biedni i nieszczęśliwi są ludzie, którzy nie mają wiary. Żyć bez wiary, bez posiadania dziedzictwa, którego należy bronić, bez ciągłej walki o prawdę, to nie życie — to wege-

tacja. Nam nie wolno wegetować, powinniśmy zawsze pamiętać, że mamy bronić prawdy, oraz zawsze mieć nadzieję, że osiągniemy prawdziwą Ojczyznę". Do osiągnięcia Królestwa Niebieskiego zdążał Piotr Jerzy konsekwentnie, nie rozdzielając nigdy praktyk religijnych od życia i wierząc, że te praktyki mają na celu głębokie przejęcie człowieka myślą o Bogu w każdej czynności i okoliczności życia.

Po rannym i wieczornym pacierzu, odmawianym zawsze na klęcząco, nie miał Frassati w dnie powszednie czasu wyznaczonego na modlitwę; zjednoczony ciągle z Bogiem, zwracał się do Niego jak mógł najczyściej i chodził w Jego obecności.

Już od wczesnej młodości zaczął często przystępować do Stołu Pańskiego, a z czasem zamienił to na codzienną Komunję św. Z tej najświętszej praktyki nie uczynił jednak szablonu i z całem nabożeństwem i skupieniem przyjmował swego Boga. Świadczy o tem drobny na pozór fakt: pobierając naukę w kolegium OO. Jezuitów, przychodził rano do szkoły naczczo, ażeby móc przyjąć Komunję św.; czekając nieraz dobrą chwilę w przedsionku natłoczonym przez chłopców, pozdrawiał ich tylko, ale w żadne rozmowy się nie wdawał, by jego pierwsza rozmowa była z Jezusem.

W praktyce codziennej Komunji św. nie ustał aż do śmierci; nie było okoliczności, któreby go zmusiły do odstąpienia z własnej woli od tego świętego zwyczaju: ani oddalenie od kościoła,

ani rozrywki, ani wygoda, lub tem bardziej wzgląd ludzki.

Kult Eucharystji stał się też jedną z cech charakterystycznych życia religijnego Frassati'ego; a gdy przy Związku Młodzieży Katol., do której należał, utworzono sekcję nocnych Adoracyj — on był jej najpierwszym członkiem i apostołem.

Ze zrozumienia powagi i świętości Kościoła katolickiego wynikało u Piotra Jerzego ogromne poszanowanie wszelkich przepisów kościelnych, współżycie z liturgją i cześć dla duchowieństwa. Ze szczególnem nabożeństwem służył on, jak tylko miał sposobność, do Mszy św., a posty kościelne zachowywał od pełnolecia z największą dokładnością. Gdy mu robiono uwagi, że jest młody, więc musi dbać o swe siły i zdrowie, Piotr Jerzy odpowiadał ze spokojem: „A któż ma pościć, jak nie młodzi, silni i zdrowi". Konsekwentnie pozostawał przez cały wielki post tylko o czarnej kawie do obiadu, odmawiając też sobie w tym czasie wszelkich słodyczy, za któremi przepadał.

W życiu światowem cechowała Frassati'ego pewna siebie postawa katolicka i nieustraszona odwaga przekonań. Nosił on stale odznakę Zw. Młodzieży Katolickiej na klapie od ubrania i nie zdejmował jej nigdy, nawet kiedy podczas rozruchów komunistycznych wychodził na miasto i mógł się narazić na duże nieprzyjemności od tych wrogów najzaciętszych religji katolickiej.

Ten drobny napozór fakt, jest jednak bardzo znamienny, bo oto czytamy we wspomnieniu pośmiertnem o Frassati'm w socjalistycznym dzien-

niku „La Giustizia“: „Głęboko wierzący okazuje nawet na zewnątrz wiarę w dokładnem spełnianiu obowiązków religijnych, a nawet *publiczne wyznanie wiary uważa za rycerskość:* jakoby mundur, który katolik powinien nosić jawnie i stale, nie zmieniając go nigdy na modny ubiór cywilny z jakichkolwiek względów. Nie lękając się narazić na lekkomyślne drwiny — zawsze brał udział w obchodach katolickich, bo ten młodzieniec był przedewszystkiem chrześcijaninem w życiu, a swe przekonania religijne zamieniał w żywe czyny miłości chrześcijańskiej i dokładne, a śmiałe spełnianie obowiązków religijnych.

„Ten chrześcijanin, który wierzył mocno — i żył według wiary, mówił co czuł, a postępował tak, jak mówił, ten dokładny zachowaniem swych przekonań religijnych, jest wzorem, od którego wszyscy musimy się czegoś nauczyć“. Trudno chyba o lepsze wykazanie, jak głęboka i szczera wiara przemawia do dusz, nawet oddalonych od Boga i wrogo do religji usposobionych. Tylko trzeba być konsekwentnym, trzeba żeby czyny były owocem głębokich przekonań.

Piotr Jerzy był takim.

Zawołany sportowiec, zamiłowany alpenista, szedł na wycieczki kilkodniowe tylko wtedy, jeżeli miał zapewnioną Mszę św. w niedzielę, chociażby o 5-ej rano; w przeciwnym razie rezygnował z miłej rozrywki. Na wycieczkach cechowała go radość i wesołość, którą wszędzie ze sobą wnosił. Ale i w górach nie zapominał o Bogu; piękno natury, na które jego artystyczna

dusza była wrażliwa, nastrajało go tembardziej do wdzięczności Panu, któremu te cuda przyrody zawdzięczał. Będąc tercjarzem Dominikańskim, nie zapominał w górach o odmówieniu codziennem koronki i nieraz mówił ją na głos, a koledzy-towarzysze wtórowali mu.

Z chwilą ukończenia modlitwy wpadał w zwykły humor; wszędzie szedł za nim jasny promień wesołości, który pociągał otoczenie i zmuszał do kochania tego prawego i szczerego chłopca. Stała równowaga i pogoda wypływały z wewnętrznego pokoju, jakim P. Bóg go obdarzał w nagrodę za jego nieskazitelną prawość, za ustawiczne czuwanie nad sobą i dziecięcą ufność.

Sądzono powszechnie, że Piotr Jerzy, będąc pod względem materjalnym i umysłowym szczególnie przez los uprzywilejowanym chłopcem — nie zna co to ból. Tymczasem i on przechodził w życiu niejedną próbę wewnętrzną, któraby inną, chwiejną duszę mogła zachwiać. Sam Frassati zdradził się raz przed kolegami z tem, że i on cierpi, mówiąc podczas wycieczki tonem wesołym: „Ja jestem podobnym do średniowiecznych błaznów dworskich, którzy pozornie promieniując wesołością, w sercu ukrywali niewypowiedziane cierpienia".

Ale tego cierpienia nikt po nim nie widział. Najcięższą i najprzykszejszą pracę wykonywał z prostotą, uważając ją zawsze za spełnienie woli Bożej.

Obok prawości i prostoty — cechowała jeszcze duszę Piotra Jerzego dobrze zrozumiana

czystość. Mając przy sobie stale bilety wolnego wstępu na wszelkie przedstawienia teatralne (gdyż ojciec jego był redaktorem), nie poszedł on na żadne przedstawienie, jeśli nie wiedział, że ono jest wartościowe pod względem treści i moralnej tendencji. A mimo to nikt nie zarzucał Frassati'emu fałszywej pruderji lub zacofania, tych dwóch typowych zarzutów, któremi społeczeństwo dzisiejsze, choć niby katolickie, szafuje przy każdej okazji, jeżeli widzi, że ktoś nie chce patrzeć lub słuchać rzeczy niezgodnych z wysoką wartością cnoty bezwzględnej czystości uczuć i pojęć.

Piotr Jerzy to „dobry katolik", współczesny nam, powojenny, jeden z tych Apostołów Akcji Katolickiej, jeden z wybitniejszych wodzów. Życie jego, tak łatwe do naśladowania w prostocie swej było przebogate w wartości moralne, bo on wszystko co myślał, czynił i mówił, wymieniał na monetę nadprzyrodzoną. Każde uderzenie jego serca było dla Boga. Dokładnie spełniał zlecenie św. Augustyna: „Kochaj Boga i czyń co chcesz". Ta miłość Boża wypełniała wszystko, a przedewszystkiem zasłaniała mu oczy na to, co dawał, dlatego sam nie wiedział, ile dusz pociągał do Boga swem przykładnem, katolickiem życiem. Apostołował świętością swego życia.

W jego postępowaniu nie było nic sztucznego, ani wyrachowanego: działał jedynie pod wpływem łaski Ducha Świętego, pod wpływem miłości — czerpanej z kultu Eucharystji. A Pan Jezus sam dokonywał tego cudu zjednoczenia co-

raz ściślejszego. Piotr Jerzy milczy o swej miłości; z nikim nie mówi o swej duszy i jej przeżyciach.

Jedynie cztery dni przed śmiercią, czytając koledze na głos żywot św. Katarzyny, odzywa się z wyrazem świętej zazdrości: „Szczęśliwa św. Katarzyna! Widzieć za życia Pana Jezusa. A my, aby Go widzieć, musimy oczekiwać na niebo!"

Tęsknota za widzeniem Boga dopełniała miary miłości — Frassati nie mógł jej ukryć. Gdy mu kapłan oznajmił, że się ma gotować na śmierć, wyrzekł z radością: „O, jakże byłbym szczęśliwy!"

O taką tęsknotę za Bogiem, o szczerą miłość ku Niemu musi się każdy z nas starać, a szczególnie ci, którzy pragną stać się pracownikami Jego. Jest to praca zawsze możliwa i dla każdego bez wyjątku dostępna, a najprzedniejsza, bo ze świętości własnej duszy rodzi owoce świętości.

Ma też zapewnione powodzenie, bo Bóg nie odmówi nędznej pomocy duszy naprawdę miłującej Go, gdyż Sam jest Miłością!

Kraków. *Dr. Elżbieta Estreicherowa.*



ŻYCIE KOŚCIOŁA.

PRZEMÓWIENIE KARDYNAŁA PACCELLI NA ZAKOŃCZENIE TRIDUUM MSZALNEGO W LOURDES 28 kwietnia 1935 r.[1])

„Post haec vidi turbam magnam, quam dinumerare nemo poterat, ex omnibus gentibus, et tribubus, et populis, et linguis, stantes ante thronum, et in conspectu Agni“. — „Potem widziałem rzeszę wielką, której nie mógł nikt przeliczyć ze wszech narodów i pokoleń i ludzi i języków, stojących przed stolicą i przed obliczem Baranka“ (Apoc. VII, 9).

Jeżeli kiedykolwiek sprawdziło się słowo Mądrości: „Qui scrutator est majestatis, opprimetur

---

[1]) Przemówienie Kardynała Paccelliego, legata papieskiego na zakończenie Jubileuszu w Lourdes, wywołało na obecnych i w całej prasie katolickiej świata olbrzymie wrażenie. Możnaby je słusznie nazwać „Hymnem Krzyża“, tego krzyża, który bardziej niż kiedykolwiek jest światu zgorszeniem i głupstwem — że wspomnimy tu choćby solidarną akcję współczesnych Niemiec przeciw dogmatowi Odkupienia — „nam zaś mocą Bożą“. Przepojone najczystszą doktryną Pawłową o tajemnicy Ciała Mistycznego, tajemnicy Kościoła, jednoczącego wszystkich wiernych w jedną żywą społeczność pod słodkiem i mocnem królowaniem Chrystusa Ukrzyżowanego („regnat a ligno Deus“), słowa wielkiego Kardynała posiadają przedziwną aktualność, dają jedyne rozwiązanie tragicznych konfliktów nurtujących świat, ukazują wielką i jasnowidzącą troskę Kościoła i Jego Głowy widzialnej dla cierpień ludzkości.

a gloria", „Kto chce wybadać majestat, będzie zatłumion od chwały", czuję to zaiste w tej oto chwili, Bracia moi, gdy spoglądając wokół siebie, widzę w tym zakątku pirenejskim, u stóp Groty masabielskiej, tak wielkie mnóstwo wszystkich ludów, wszystkich narodów, wszystkich języków, przed tronem Baranka Bożego, który gładzi grzechy świata.

Ale ta Grota, ten nurt potoku, który przepływa szumiąc tuż obok nas, budzą w mej myśli obraz innych strumieni, innego cienia: pamięć pierwszego poranku ludzkości, gdy Boży Majestat obiecywał naszym zgnębionym, pierwszym rodzicom triumf Niewiasty i Jej Syna, niepokalanej Panny i Jej Bożego Syna, Odkupiciela świata.

W obliczu Boga sto wieków jest jak dzień; wesele, którem ziemia w tych oto dniach jest jakby zalana, jest weselem wypełnienia, osiągniętego nareszcie, odwiecznej nadziei i obietnicy: jest hymnem, wysławiającym zwycięstwo i podwójny triumf Chrystusa i Jego Bożej Rodzicielki. Dziś wydaje mi się, że widzę czasy, które się liczą mnogością wieków, rozpływające się we wiekuistym dniu, że rozchylają się już bramy niebios, że ziemia i niebo i bezmiar spotykają się ze sobą i jakby roztapiają w jednem widzeniu, że na imię Jezusa i Marji wszechświat pada na twarz.

W niebie, oto widok świetności niebieskiej Jeruzalem, niezliczone falangi świętych przyodzianych w białe szaty, z palmami w dłoni, wielbiące i wysławiające pieśniami chwały Bożego Baranka, umęczonego i żyjącego. Oto wielki dziw,

Niewiasta obleczona w słońce, której stopy spoczywają na sierpie księżyca, której czoło wieńczy dwanaście gwiazd. Tak św. Jan Apostoł, swojem orlem wejrzeniem widział błogosławioną Jeruzalem zstępującą z niebios, albowiem Bóg znajduje wesele swe wpośród synów człowieczych; i Baranek Boży, Słońce niebios, zaprawdę wciąż jeszcze zstępuje między nas, pod osłoną Eucharystji, podczas gdy Królowa niebios, która nie wzgardziła ongiś betlejemską grotą, dziś również nie pogardza Grotą w Massabielle.

Tajemnicę trzeciego nieba przewidział również wielki Apostoł, św. Paweł, kiedy rozważał w swym duchu, jak Bóg wywyższył swojego Syna, poniżonego do śmierci krzyżowej, i jak Mu dał imię, które jest nad wszelkie imię, tak wielkie, że na imię Jezusa ugina się wszelkie kolano, w niebie, na ziemi i w podziemiach i wszelki język wyznaje, że Pan Jezus jest w chwale Ojca (Fil. II, 9).

Tak więc my, na ziemi, w imię Jezusa jednoczymy się z niebem, aby społem wielbić Syna Bożego, Ukrzyżowanego, szczęśliwość świętych; my, którzyśmy jeszcze pątnikami ziemskiego padołu i zdala od Boga, ale w świętem obcowaniu z wybrańcami niebios, którzy dotarli już do kresu swojej drogi wszyscy jesteśmy zjednoczeni w Chrystusie węzłem miłości, która jest im koroną chwały, nam zaś nasieniem szczęśliwości, tak jak jest nadzieją pewną i niezawodną dla dusz, pogrążonych w więzieniu czyśćca, które czekają na

dzień, w którym będzie im otwarty dostęp do błogosławionej ojczyzny.

W imię Chrystusa i Jego Krzyża raduje się w niebiesiech Kościół triumfujący; w imię Chrystusa i Jego Krzyża cierpi, walczy i modli się tu na ziemi Kościół wojujący; w imię Chrystusa i Jego Krzyża czeka w pokoju i cierpliwości na radość wieczną Kościół cierpiący. Na ten potrójny okrąg rodzaju ludzkiego pada bezmierna i Boża światłość zbawczego Krzyża, którego promienie sięgają w przeszłość do zmierzchu pierwszej winy, który od dziewiętnastu wieków nie przestaje zaludniać pozyskanymi przez siebie, corazto nowymi wybrańcami, miejsc opustoszałych po upadłych aniołach, który zmywa wszelakie skażenie spływającą zeń Krwią bez skazy, która pociesza strapienie nieszczęśliwych, utwierdzając w nich miłość Bożą; podczas gdy, w przerażeniu walki, moce piekielne daremnie usiłują go zwyciężyć.

Dla oglądania tego triumfu Bożego świecą w duszy naszej, niby trzy gwiazdy na firmamencie ducha, trzy cnoty, które, zaczerpnąwszy świa, tłość swą wprost u ogniska Bożego, odbijają odblask ten w niebie, na ziemi, i aż wgłąb otchłani. Ale nato, aby wam wyjawić wspaniałość triumfu Odkupiciela Boskiego i Jego Krzyża, w tę uroczystość wieńczącą jubileusz naszego Odkupienia, lepiej od mojej biednej wymowy wznosi się pełen majestatu i uniesienia najwyższy autorytet Namiestnika Chrystusowego, który chciał uczestniczyć w niej sam; i oto odpowiada mu echem

obecność najdostojniejszych kardynałów i tylu czcigodnych biskupów, prałatów, księży i zakonników i ta atmosfera żarliwej pobożności, która od trzech dni, otacza te ołtarze i tę świętą liturgję. I ten zwarty tłum, przybyły z całego chrześcijaństwa, który rozmaitością pochodzenia, mowy i obyczajów wysławia błagalnie, wdzięcznie i ufnie Odkupiciela rodzaju ludzkiego, ten tłum skupiony u stóp bezkrwawej Golgoty, tej Golgoty miłości i zmiłowania, wybaczenia i łaski, przypomina obraz niebieskich orszaków triumfującego Chrystusa, które jawiły się w ekstazie ewangelisty z Patmos, korne i śpiewające hosanna przed Barankiem Bożym. „Vidi turbam magnam, quam dinumerare nemo poterat, ex omnibus gentibus et tribubus et populis et linguis, stantes ante thronum et in conspectu Agni".

Kościół triumfujący.

Odkupienie, dokonane przez Chrystusa, jest ośrodkiem dziejów ludzkości; szukajcie w przeszłości, szukajcie w teraźniejszości, szukajcie w przyszłości: nie znajdziecie większego wydarzenia niż to, które przenika historję najpotężniejszego imperjum starożytności, jawne i ukryte zarazem jak tajemnica wiary.

Przed dziewiętnastu wiekami, pewien człowiek z Judei, potomek Dawida, prorok i więcej niż prorok, zostaje skazany i ukrzyżowany przez niewdzięczność ludu, przez nienawiść kapłanów, przez tchórzostwo urzędnika rzymskiego.

W chwili Jego śmierci słońce się zaciemnia, ziemia drży, umarli wstają; on sam, złożony w grobie, zostaje tam przez trzy dni pod strażą nieprzyjaciół. O świcie trzeciego dnia ziemia ponownie drży; i człowiek ten znów bierze w posiadanie życie, które złożył, ale odtąd życie to jest nieśmiertelne i niecierpiętliwe. Wychodzi z grobu, powraca między uczniów strwożonych, wraz z nimi je i pije aby im jasno wykazać prawdziwość ciała swego, ciała z krwi i kości, jak wpierw; mianuje ich swoimi zwiastunami i posyła na krańce ziemi, aby przepowiadali wszędzie, jakto zstąpił z nieba, wyszedł od Ojca, przyszedł na świat, kędy umarł, potem zmartwychwstał; jak, na nowo, opuścił świat i powrócił do Ojca.

Oto fakt, Bracia moi, zapisany w tekstach, dokumentach i pomnikach pewniejszych i bardziej niezawodnych niż komentarze zdobywcy Galji i zwycięzcy Vercyngetoryksa.

Tajemnica wiary.

Kędyż więc jest tajemnica wiary? Gdzie jest ta siła tajemnicza, niewidzialna a jednak triumfująca, która wszystko sprawuje a jednak nie jest widoczna? Gdzie jest objawienie rzeczy niewidzialnych? Tajemnica wiary, mysterium fidei, jest tam, na tym ołtarzu, pod osłoną tego, co zda się być chlebem a nie jest chlebem. Ten człowiek rodem z Judei, ukrzyżowany i zmartwychwstały, jest tam, ukryty przed naszym wzrokiem a jednak prawdziwie obecny wpośród nas; pod temi postaciami zapożyczonemi, żyje w całej pełni swo-

jej chwały, ale taki cichy i pokornego serca, serdeczny jak brat, miłujący jak przyjaciel, dobry jak ojciec.

To jest misterjum Odkupienia, misterjum ofiary, i ołtarz jest nową Golgotą, tą Golgotą, którą Boski Odkupiciel, w przeddzień krwawej ofiary, oglądał w przedziwnem uniesieniu miłości ku tym, za których miał umrzeć, gdy zamiast krwi jagniąt i byków, zamiast ofiar i całopaleń starego przymierza, których Bóg już nie chciał, ustanawiał, niby testament przypieczętowany własną Krwią, ofiarę bezkrwawą, ofiarę bez zmazy nowego przymierza, zawartego z ludem wiernym, z ludem nowym, i gdy pod oddzielnemi postaciami chleba i wina ukrył się sam, zostawiając nam w spuściźnie niewysłowione i żywe wspomnienie Męki swojej i Śmierci.

Nato, aby ofiarować się za nas, jednorodzony Syn Ojca, Słowo Boże stało się ciałem i zamieszkało między nami; On, stwórca niebios i ziemi, poniżył się i wyniszczył niejako, przyjmując naturę sługi; urodził się w stajni jako biedne, małe dzieciątko; uciekał, jak wygnaniec, na obcą ziemię; został obrzezany w świątyni, jak grzesznicy; był poddany swoim stworzeniom, uchodził za syna rzemieślnika; schronił się w samotność puszczy wpośród dzikich zwierząt; przez trzy lata przebiegał, nauczając, drogi Palestyny; i wkońcu, zanim umarł na krzyżu, — który mianował kluczem niebios i sztandarem wiekuistego triumfu — w tym sakramencie wyniosłym, memorjale męki swej i dobrowolnej ofiary, u-

krył promienie olśniewające swojego ciała zmartwychwstałego i przemienionego, aby pozostać z nami aż do skończenia wieków, jako Kapłan jednocześnie i Ofiara, składając swojemu Ojcu niebieskiemu hołd uwielbienia, dziękczynienia, przebłagania i prośby.

O głęboka i niezbadana tajemnico naszych ołtarzy! Odkupiciel zniósł ofiary i obrzędy starego Przymierza na wieki umarłe i bezpłodne, aby, wypełnić w swojej Krwi Kapłana i Ofiary, jedyną ofiarę, jedyny okup na wybawienie wieczne.

Sacerdos alter Christus.

Nie mówcie mi, pyszni bałwochwalcy ślepego rozumu ludzkiego, że słowo Chrystusowe nie ma mocy przemieniać chleba i wina w Ciało Jego i Krew. Zali myślicie w waszej próżnej mądrości, że Chrystus przyszedł zastąpić niezliczone ofiary dawnych wieków czystą nicością? że Syn Boży, ten nowy Melchizedech, nie pomyślał o tem albo nie umiał, z całą wszechmocą władzy swej nad przyrodą, zrealizować symbolu ofiary starożytnego kapłana Najwyższego? Nie! kapłan nowego zakonu, kapłan ewangelji, którego widzicie wstępującego do ołtarza i składającego ofiarę, nie jest druidem ani flaminem ani haruspeksem; nie będzie, jak oni, zarzynać i składać w ofierze ofiar plugawych fałszywym i kłamnym bożyszczom; nie jest kapłanem lewitą; nie będzie palić kadzideł i składać całopalenia przed zasłoną, która kryje przed jego wzrokiem świadectwo bożego

przymierza. Nie! jest wybrańcem, uczestniczącym we wiekuistem i jedynem kapłaństwie Chrystusowem, czyniącym, na Jego pamiątkę, to, co czynił On Sam; jest drugim Chrystusem, wybranym, jak Aaron, ale jest więcej, niż Aaron, albowiem jeśli wchodzi na górę i wstępuje w cień, nie czyni tego jak Mojżesz na górze Synai, obleczonej chmurami, wpośród huku grzmotów, nie wchodzi do namiotu z koźlich skór, ale w cień Wieczernika, w wielki mrok Golgoty, aby złożyć Bogu bożą Ofiarę, która gładzi grzechy świata, która zaspakaja sprawiedliwość Ojca, która otwiera bramy niebios i spuszcza z nich obfite strumienie miłosierdzia i wybaczenia, na oczyszczenie nie ciała, lecz duszy.

Tak, mrok Golgoty jest mrokiem wiary, ponieważ dziedziną wiary jest to, co niewidzialne, ponieważ zasługą wiary jest właśnie trwanie wpośród ciemności, jak Matka Najświętsza u stóp krzyża na którym kona jej Boski Syn, ponieważ wyżyny wiary wznoszą się hen ponad gwiazdy, tam, kędy mieszka Bóg w światłości niedostępnej, gdzie Bóg pozostaje niewidzialny każdemu, kto nie przekroczył granic śmierci, gdzie Syn Boży, Ukrzyżowany, swojemi świętemi ranami oświetla raj jak słońcem i z krzyża swego czyni sztandar triumfalnego orszaku, trofeum swojego ostatecznego zwycięstwa w ostatni dzień. Na naszych ołtarzach jest On tą samą Ofiarą zabitą, zmartwychwstałą, nieśmiertelną i wniebowziętą, którą wielbi i wysławia w niebie Kościół odkupiony i triumfujący; jest tym samym Odkupicielem,

zawsze Kapłanem i Ofiarą, zawsze składającym Ojcu ofiarę za nas: „sempiternum habens sacerdotium, semper vivens ad interpellandum pro nobis“.

U Jego stóp, na innym tronie, jaśnieje dostojna Królowa niebios, najpiękniejsza zdobycz Odkupienia, Niepokalana Panna, Matka Boża; i przy Niej, wpośród niezmierzonego chóru mądrych panien, dostrzegam pokorną dzieweczkę z pirenejskich dolin, oglądającą w ekstazie i odnajdującą w jasności świętych Tę, która w poufnych spotkaniach masabielskiej Groty, pewnego dnia, wyjawiła jej w uśmiechu najpiękniejsze swoje imię. O tak, Bernadetko, jasna liljo ogrodów kwietnych Francji, rozraduj się wielką radością i śpiewaj, wraz z Joanną d'Arc, hymn dziewic które, za Niepokalaną Panią, idą w orszaku Baranka zabitego na okup świata.

Kościół wojujący.

I tak jak tam, w niebie, na pamiątkę tej ofiary ale jeszcze w większym stopniu przez nieustanne jej składanie Kościół triumfujący wokół Chrystusa święci Odkupienie, również tu, na ziemi, Kościół wojujący obchodzi w tych dniach Jubileusz Odkupienia, przez pamięć ofiary na Golgocie i w hołdzie dla swego Odkupiciela, triumfującego w niebie, i łączy się myślą i sercem ze wszystkimi wybranymi, ze świętymi którzy otaczają tron, na którym króluje Baranek zabity, podczas gdy my wznosimy ku temu tronowi i ku temu ołtarzowi spojrzenia pełne nadziei.

„O Crux ave spes unica!“

Tak, nadzieja nasza — jak i nasza wiara, która jest jej istotą i przedmiotem, — trwa w niebie i utwierdzona jest tam; ale tu na ziemi podtrzymuje ona życie nasze. Jeżeli, w imię Chrystusa i Jego Krzyża, w niebie chór aniołów i chóry Kościoła triumfującego śpiewają przed tronem Bożym: „chwała, cześć, zbawienie i błogosławieństwo“, tu na ziemi, Kościół wiernych jeszcze pielgrzymujących całą nadzieję swoją pokłada w krzyżu. O crux ave, spes unica! Ocean ludzkości jest miotany burzą, ludy jak fale powstają i zderzają się ze sobą pod naporem wichrów namiętności społecznych i politycznych, wybrzeża i plaże pokoju są smagane i wstrząsane przez rozpętane bałwany, mrok przyszłości wzmaga strach: w kim złożymy naszą nadzieję odpuszczenia, ciszy i pokoju? Kto rozkaże wichrom i burzom? Kto każe zmilknąć ich poświstom i wściekłości? Kto pokieruje sercami i decyzjami mężów stanu w straszliwem zadaniu jednania ludów w słuszności? Kto nada owocność ich ofiarności i wysiłkom dla utwierdzenia pokoju i wyzwolenia ludzkości od jej trwogi? Nie lękajcie się, bracia! Na falach i wpośród burz idzie w cieniu tabernakulum Pan nieba i ziemi; nie, On nie minie obojętnie naszej barki, miotanej wichrami; przyjdzie ku nam i rzeknie: „miejcie ufność, jam jest, nie bójcie się“. „Habete fiduciam; ego sum, nolite timere“. Czyż nie obiecał nam, że będzie z nami aż do skończenia wieków? Od dziewiętnastu stuleci trwa u boku swojej Oblubienicy, Kościoła,

który wpośród burz i zamieci świata wraz z Nim żegluje bez trwogi i bez szkody, zwyciężając wszelką przeciwność, ku portowi wieczności, który jest jej celem. Zali nie wierzymy Jemu? Zali, może, nie znamy Go? Oby nie musiał o nas rzec, po tak długim czasie spędzonym z nami, że nie poznaliśmy Go jeszcze. „Tanto tempore vobiscum sum, et non cognovistis me“!

„Stat crux — dum volvitur orbis“.

Jesteśmy pogrążeni wpośród burzy, miotającej oceanem społeczeństwa i narodów, ale nadzieja nasza i ufność nasza są w krzyżu Chrystusowym, który trwa, niezachwiany, wśród zamieszek świata. On jest tą kotwicą która, wpośród rozpętanych fal, daje bezpieczność łodzi Kościoła i duszy naszej, zmierzającej do portu dóbr najwyższych i niewidzialnych; on jest kotwicą mocno utwierdzoną w Bogu i w Jego obietnicach nieomylnych.

W tym Bogu, który mieszka z nami, ukryty na ołtarzu ofiary, pokłada całą nadzieję swoją pokoju i odpocznienia Kościół, krocząc poprzez wieki wpośród zdobyczy i walk, korząc się przed Nim w modlitwie, prosząc Baranka, który gładzi grzechy świata, aby rozporządził dni nasze w pokoju, przypominając Mu — a zna je Sam — wiarę swoich dzieci, ich pobożność, ich modły o zbawienie dusz.

Od dziewiętnastu wieków dzieło Odkupienia tak bardzo rozszerzyło swe spokojne podboje, niosąc na krańce ziemi owoce zbawczej Ofiary,

że słońce, o każdej porze swojej drogi, oświetla jakiś ołtarz, na którym składa się ta ofiara. Ale te trzy dni, które przeżyliśmy tu, które Namiestnik Chrystusowy przeżył w łączności z nami, jakiż język ludzki zdoła wyrazić ich świetność niezrównaną, jakież słowa sprostają wspaniałemu widokowi całego katolickiego świata, który, od wschodu do zachodu, jednym głosem i jednem sercem, wznosi żarliwe suplikacje do Boga i Jego świętej Matki, prosząc o łaskę, o pokój, o zbawienie? Od zachodu na wschód, imię Boże jest wielkie między narodami i na każdem miejscu ofiara czysta i święta jest składana na chwałę Jego imienia.

Jakżeż sprawdziła się w ciągu tych błogosławionych dni, według nadziei naszego wspólnego Ojca, gorejąca miłością przepowiednia proroka! Byliśmy tego świadkami, jakoteż świadkami żarliwych suplikacyj, które wznosiły się ku Bogu i Jego Matce Najświętszej, prosząc o łaskę, o pokój, o zbawienie, potrzebne nam tak bardzo!

Słysząc Apostoła opowiadającego nam widzenie nieba, w którym Kościół triumfujący opiewa swe Zbawienie wypełnione, poczuliśmy na chwilę przechodzący nad nami kojący wiew. Ale potem, jak po zbyt pięknym śnie, wykołysanym zbyt daleką nadzieją, widzenie ziemi i obecnej rzeczywistości bierze nas znów w posiadanie, czyniąc może tem boleśniejszą pamięć wielkiego utrapienia, w którem świat wciąż jeszcze cierpi od głodu i pragnienia; gdzie dusze, wiedzione przez nauczycieli błędu, poją się

u zatrutych źródeł; gdzie oczy są jeszcze pełne łez, niestety często pełne żalu i nienawiści; gdzie nazbyt wielu chrześcijan pomiata suknią chrztu w pyle próżnych uciech, w błocie złych rozkoszy. Z tego świata, z którego wszakże, od wschodu na zachód, wznosi się bez przerwy głos zbawczej Krwi, wznoszą się również gorzkie skargi, szemranie i bluźnierstwa zamiast modlitw błagalnych i ufnych.

(d. n.)

(tłum. M. Winowska).

PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY.

(Listy Pasterskie o Kościele J. E. K. Hlonda i J. E. B. Lisowskiego).

(dokończenie)

Nawołując wiernych do pracy nad rozwinięciem w sobie życia wewnętrznego, Najdostojniejszy Arcypasterz zaznacza, że „tej mistycznej głębi potrzebuje Kościół w Polsce najwięcej". Kościół, jako społeczność widzialna i nadprzyrodzona zarazem, potrzebuje tak dóbr materjalnych, jak i duchowych. Pierwsze są niezbędne z tego względu, że Jego członkowie są ludźmi, że cześć, jaką Bogu ma oddawać, nie może się ograniczać tylko do strony wewnętrznej (bezwątpienia, że ona jest najważniejszą), ale Boga ma czcić po ludzku, wprzęgając do tej służby i ciało, posługując się materją. Drugie, to jest duchowe, są ważniejsze. One są właściwym skarbem Kościoła. Mamy na myśli nie dobra nadprzyrodzone same w sobie, wysłużone przez Chrystusa Paan, a które stanowią niewyrzecpany skarbiec Kościoła ale członków Kościoła, wiernych, czerpiących z tego skarbca.

Kościół można porównać do kraju, posiadającego wielkie bogactwa naturalne. Jeśli obywatele zechcą i potrafią te bogactwa wykorzystać, staną się bogatymi, jeśli nie, kraj będzie ubogi, mimo, że kryje w sobie skarby, mogące ich wzbogacić.

Kościół ma w sobie bogactwa duchowe przeogromne. Są one dostępne dla każdego. Trzeba tylko z nich korzystać, trzeba niemi żyć, niemi duchowo się bogacić.

Gdy czytamy historję Kościoła, widzimy, że nie zawsze jednakowo wierni czerpali z tych skarbów duchowych. Mamy okresy w Kościele, kiedy to życie wewnętrzne naprawdę „wrzało", mamy czasy, kiedy ono biło słabszem tętnem. Zależało to od tego, w jakiej mierze wierni korzystali ze skarbów, jakie Chrystus

Pan złożył w depozycie Kościołowi. Do najpiękniejszych okresów w życiu Kościoła należą właśnie te czasy, kiedy wierni brali z tych skarbów pełną garścią.

Naodwrót, do najsmutniejszych zaliczyć należy nie czasy prześladowań, ale chwile obniżenia się duchowego wśród wiernych.

I dzisiaj komu leży dobro Kościoła na sercu (a każdemu bardzo leżeć powinno), powinien przyczyniać się do wzbogacania się duchowego Kościoła, przez ustawiczne potęgowanie życia wewnętrznego u wiernych. Nie wrogów zewnętrznych Kościół się obawia, lecz zaniedbania się wiernych w życiu wewnętrznem.

Wrogowie zewnętrzni wobec Kościoła będą bezsilni, o ile w łonie Kościoła będzie naprawdę kwitnąć „święte wrzenie mistyczne".

Słusznie więc mówi w swym liście Najdostojniejszy Arcypasterz, że „tej mistycznej głębi Kościół w Polsce potrzebuje najwięcej".

„Od niej — woła dalej — rozpocząć należy naprawę Polski i jej ducha". Jeśli chcemy naprawić ducha narodu, środkiem najprostszym i najskuteczniejszym, to zaszczepianie, pielęgnowanie w duszach wiernych życia wewnętrznego.

Może komuś się wydawać, że to za wielkie uproszczenie sprawy. Jeśli jednak rozważymy głębiej i dokładniej, napewno zgodzimy się na to. Wartość każdej społeczności, począwszy od najmniejszej (rodzina), do największej (naród, Kościół), zależy od ducha poszczególnych jednostek. Życie wewnętrzne zaś uszlachetniając i wyrabiając jednostki, tem samem uszlachetnia społeczeństwo. Prawa, więzienie ,kary, policja i t. d., nie przemienią społeczeństwa, jeśli ta przemiana nie zacznie się od wewnątrz każdej jednostki.

Życie wewnętrzne potrzebne jest wszystkim wiernym, lecz w pierwszym rzędzie niezbędne jest tym, którzy przzwodniczą innym ; a więc kapłanom. „Potrzeba jej (głębi mistycznej) — słowa listu — przede-

wszystkiem nam kapłanom". Rzecz całkiem zrozumiała. Ci, którzy mają innych prowadzić do świętości, powinni przedewszystkiem sami tę świętość posiadać. Nemo dat hoc, quod non habet. Nikt nie może dać tego, czego sam nie posiada. Ta głębia mistyczna, jest więc przedewszystkiem konieczną nam kapłanom i to, pod karą narażenia naszej pracy na bezowocność. Nie tu jest miejsce omawiania obowiązku pracy nad świętością, jaki ciąży na każdym kapłanie. Wspomnieć należy tylko słówkiem, jak ludzie świeccy zapatrują się na wyrobienie wewnętrzne osób Bogu poświęconych i jak oni potrafią odrazu, jakby instynktownie, poznać, czy mamy to wyrobienie lub nie. Oto wyjątek z listów do redakcji: „...Uważam, że jaki Ksiądz katecheta ‚spowiednik, proboszcz i t. d., takie i dusze, które mu Bóg powierzył. Tak samo gdy obserwuję szpital i stosunki w nim, to jaka siostra, taka i sala jej. Nasza praca, to jak zwierciadło naszej wewnętrznej wartości..."

Słowa powyższe, wypowiedziane z głębokiego przekonania i bez najmniejszej chęci krytyki, są zupełnie słuszne. Bardzo dużo zależy od tych, którzy stoją na czele. Ta zależność w sposób szczególny istnieje w życiu duchowem, w pracy nad wyrobieniem wewnętrznem. Życie wewnętrzne, duch nadprzyrodzony, ma to do siebie, że promieniuje dookoła siebie, że udziela się innym, działa na innych.

Kościół świadom tego, dba bardzo o wyrobienie duchowe kapłanów. Życzeniem jego jest, by i wierni pomagali mu w tej pracy swemi modłami za kapłanów.

Tak kapłani, jak i wierni, wszyscy mamy dbać o wewnętrzne wyrobienie. Ono ma być siłą w życiu i pracy codziennej. „Z wewnętrznego — słowa listu — bogactwa łaski powinniśmy przeto ponieść moc ducha w codzienne życie".

Utrzymanie w sobie życia wewnętrznego, jest niemożliwem bez walki. „W walce duchowej — pisze Kardynał Hlond — mamy się przezwyciężać".

Konieczność walki, przezwyciężania się, to najtrudniejsza rzecz dla nas. Ponieważ nie mamy dość silnej woli ,odwagi, a przedewszystkiem wytrwałości w tej walce, dlatego tak niewielu, ma w sobie życie wewnętrzne, a jeszcze mniej doprowadza je do wysokiego stopnia.

Wprawdzie na walce, na przezwyciężaniu się, nie polega istota życia wewnętrznego i świętości, lecz taką już jest nasza natura, że życie wewnętrzne nie może się w niej rozwijać, bez przezwyciężania się.

Skutki grzechu pierworodnego uczyniły z nas ziemię nieurodzajną, zachwaszczoną. Chcąc by życie łaski mogło na niej kwitnąć, musimy ustawicznie ten chwast plewić, orać, czyścić i t. d. To właśnie jest ową walką, przezwyciężaniem się.

Aby nasze codzienne życie mogło utrzymać się na poziomie prawdziwie chrześcijańskim, musi mieć gruntowny podkład nadprzyrodzony, musi mieć źródło, z którego możnaby czerpać ustawicznie siłę życiową, nadprzyrodzoną. Siły przyrodzone nie wystarczą. Takiem źródłem jest właśnie intenzywne życie wewnętrzne.

Brak tego podkładu nadprzyrodzonego jest przyczyną niedomagań życia religijnego wśród wiernych. Na nie wskazuje Autor listu.

„Zewnętrzne życie Kościoła zanieczyściło się światem, duchem pogańskim, niekonsekwencją etyczną, grzechem“.

Oto choroby, które ustawicznie wciskają się w życie zewnętrzne Kościoła. Nie wszyscy wierni, aczkolwiek należą do Kościoła, przejęli się duchem Kościoła, a jeszcze większe braki dają się zauważyć w życiu moralnem. Nie trzeba wiele o tem mówić. Wszyscy na to patrzymy. „Oblicze Oblubienicy — słowa listu — Chrystusowej okryte jest zmazami, albo zmarszczkami“. Szata Kościoła wymaga „wybielenia w Krwi Barankowej“.

Wskazawszy na niedomagania w życiu zewnętrznem Kościoła, Najdostojniejszy Purpurat, rzuca hasło: „Skończyć z katolicyzmem słabym, liberalnym, dancingowym, grzesznym, niezgodnym z etyką katolicką".

Jesteśmy wszyscy — z małemi wyjątkami — katolikami, lecz niestety ileż w naszym katolicyzmie słabości, anemji, powierzchowności. Dużo mu jeszcze niedostaje! Z takim katolicyzmem musimy skończyć. „Kapłani i świeccy, stawajcie — woła dalej Arcypasterz — do wyścigu o „nieskazitelny wieniec" katolickiej kultury życiowej i doskonałości chrześcijańskiej".

Wyraża Autor listu życzenie, by wśród duchowieństwa polskiego zjawił się nasz Jan Vianney i nasz św. Jan Bosko, wśród polskiej inteligencji, polski Contardo Ferrini, a wśród polskiej młodzieży akademickiej polski Frassati.

Zaszczyt przynoszą każdemu narodowi wielcy wodzowie, uczeni, poeci, pisarze, artyści, i t. d., słowem — wielkie umysły — o wiele jednak większą chlubą jego są święci, wielkie charaktery. Święci, to najpiękniejszy kwiat kultury chrześcijańskiej. Oni są wykładnikami katolicyzmu danego narodu i oni równocześnie są największymi pionierami katolicyzmu i wogóle kultury prawdziwej.

Zapewne, że świętość to sprawa czysto osobista każdej duszy z Bogiem, lecz i to jest prawdą, że Bóg w dziele uświęcenia dusz, liczy się z ogólną atmosferą katolicyzmu i tam więcej wzbudza świętych, gdzie katolicyzm jest głębszy, gdzie atmosfera ogólna więcej nim jest nasiąknięta.

Nad wyrobieniem atmosfery prawdziwie katolickiej mamy pracować wszyscy bez wyjątku. Duchowni i świeccy, młodzi i starzy. Nikt od tej pracy nie może się wymawiać. Tu chodzi o dobro wspólne i osobiste zarazem. „Niech się każdy — słowa listu — polski kapłan staje ośrodkiem świętości, a każdy polski katolik niech będzie pociągającym wzorem praktycznego chrześcijaństwa".

Wreszcie Kardynał Hlond nawołuje do intenzywniejszej pracy apostolskiej na niwie Kościoła. „Kościół Katolicki w Polsce — pisze — powinien zwiększyć swą aktywność". Kościół Katolicki odgrywał w życiu Polski wielką rolę, był i jest jej najpotężniejszym nurtem duchowym" jej duszą, atmosferą jej życia, ostoją jej ducha". Taką samą rolę Kościół będzie spełniać i nadal w życiu Polski. „Żadna moc nie wykreśli Kościoła katolickiego z przyszłych dziejów Polski. Siła jednak dodatniego działania Kościoła, Jego żywotność od nas zależy".

Kościół nie jest środkiem dla narodu. Cel jego, jak widzieliśmy, jest ogólny, ponad-narodowy, ponadpaństwowy, jednak spowodu ścisłej łączności z narodem, wpływ Kościoła jest wielki, a równocześnie bardzo dobroczynny.

Kościół nie niszczy, nie osłabia, ale wzmacnia, uszlachetnia naród, podobnie jak łaska nie niszczy natury, ale ją udoskonala.

Praca apostolska Kościoła, Jego aktywność, ma wprawdzie na pierwszym planie dobro nadprzyrodzone, z niem jednak ściśle łączą się i dobra naturalne. Mając to na względzie, wszyscy powinniśmy stać się apostołami.

„Krzepiące tchnienie apostolskie niech powieje przez kraj cały. Coraz ofiarniej niech szafuje swym kapłańskim trudem duchowieństwo polskie, które zdecydowanie wchodzi na drogę maksymalnych programów duszparskich. A laikat polski, który tak entuzjastycznie podjął hasło apostolstwa świeckiego, niechżeż swą rycerską służbę pełni na każdym odcinku polskiego życia. Niech się w kuźnię Ducha Chrystusowego zamieni każda chata wieśniacza, każdy dom robotniczy, każda kamienica, każdy dwór, każde biuro, każda instytucja, każdy zakład, każda szkoła. Akcja Katolicka, roztropna, kulturalna, dostojna, niech podbija głębią chrześcijaństwa. Niech nikogo nie zraża wyniosłością, lub ostrem postępowaniem. Niech ma zrozu-

mienie dla nieświadomości i dobrej woli tych, którzy się z Chrystusem w swem życiu nie spotkali. Niech się przed mozołem i ofiarą nie cofa. Jej powabem niech będzie praktyka miłości i umiłowanie prawdy, a celem chrześcijaństwo żywe i pełne, które zadecyduje o wielkości i potędze Polski. „Niema w żadnym innym zbawienia", jeno w Chrystusie. A moce Chrystusowe nie gdzieindziej są złożone ‚jeno w Jego Kościele".

Rom.

PRZEGLĄD BIBLJOGRAFICZNY.

O. Garrigou-Lagrange O. P., TRZY NAWRÓCENIA I TRZY DROGI.

Trzeci tomik kolekcji „Kultura Katolicka", wydawanej przez Naczelny Instytut Akcji Katolickiej w Poznaniu pod kierownictwem Ks. Dr. Brossa.

Autor znany w świecie całym ze swych licznych dzieł nietylko filozoficznych, apologetycznych, ale i z dziedziny mistyki, na liczne prośby — jak zaznacza w słowie wstępnem, — streścił w powyższym tomiku dwie poważne prace: „Perfection chrétienne et contemplation" (Doskonałość chrześcijańska a kontemplacja) i L'amour de Dieu et la Croix de Jesus" (Miłość Boga i Krzyż Chrystusa).

Jest to więc krótka, przystępnie napisana synteza nauki o rozwoju życia wewnętrznego w duszach.

Najpierw omawia Autor na czem polega życie nadprzyrodzone, jak wielką jest jego wartość; następnie, jak to życie nadprzyrodzone w duszach się rozwija; a więc mówi o owych przemianach, czyli nawróceniach, przez które dusza musi przejść, jeśli chce osiągnąć doskonałość.

Za wzór tego rozwoju życia nadprzyrodzonego, podaje nam Apostołów, jako tych, którzy wyszli ze szkoły samego Chrystusa, a których rozwój życia wenętrznego jest zaznaczony w Piśmie św.

Rękojmią wartości dziełka jest sama osoba Autora.

Forma zewnętrzna zewszechmiar zadowalniająca, co zresztą należy powiedzieć o wszystkich tomach „Kultury Katolickiej", a które słusznie mogą się szczycić, że są ozdobą każdej bibljoteki.

Szkoda tylko, że tłumaczenie[1]) nie jest dość poprawne, tak pod względem językowym, jak i wierności w oddaniu myśli. *R.*

---

1) Dla przykładu podajemy zdanie na stronie 21-ej polskiego wydania, a 22-ej francuskiego: „Le progrès spirituel ne peut tendre en effet vers la vie de l'eternité que s'il en

Ks. Dr. Fr. Sawicki: „DLACZEGO WIERZĘ. Str. 120. Nakładem Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań 1935.

Niewątpliwie jednem o najcenniejszych wydawnictw katolickich ostatniej doby jest kolekcja „Kultury katolickiej", wychodząca nakładem Instytutu Akcji katolickiej w Poznaniu. Każdy tom jest nowością nawskróś aktualną i pożądaną. Jedną z najciekawszych książek tej kolekcji jest publikacja znanego nam już autora „Filozofji miłości" — ks. Dra Sawickiego. Temat trafia w tok najczęściej dzisiaj wysuwanych trudności, które kładą się dłodą u nóg wielu młodych katolików. Z jednej strony pragnienie wolności, niezależności i wybujała indywidualność, — z drugiej strony dogmatyzm Kościoła katol., prawdy „irracjonalne", tajemnice nadprzyrodzone. Myśl nowoczesna pragnie wszystko to zgłębić do dna, sobie podbić i zrozumieć jasno, jak pod szkiełkiem mikroskopu. A jednak jeszcze zostaje tyle tajemnic! Czy więc jeszcze wierzyć?

Tym wszystkim przychodzi autor z odpowiedzią, uformowaną swoiście, która sugiestywnie działa na czytelnika. Nie powtarza tego, co znajdziemy w każdej podręcznej apologetyce, podchodzi jako wytrawny psycholog do nowoczesnej mentalności, przemawia do niej o tem, co ją interesuje. Przechodzi od filozofji ateistów, deistów, racjonalistów, poprzez filozofję katolicką do prawd odwiecznych, prostych i najgłębszych.

To jedna z największych zalet autora, że potrafi mówić tak jasno i ciekawie o rzeczach najzawilszych i trudnych.

Książka swoją wielką aktualnością i doskonałem opracowaniem tematu wysuwa się między najlepsze książki powyższej kolekcji. Oby autor nie odkładał pióra i wzbogacał literaturę katolicką dalszemi publikacjami. *H. Z.*

---

suppose le germe en nous, et un germe de meme nature". Co tłumacz tak oddaje: „Na drodze duchowej dlatego jedynie możemy ku wieczności podążać, że w nas istnieje naturalny jej zarodek".

ROZMYŚLANIA z pism *św. Alfonsa M. Ligourego,* zebrał O. Jakób Christini Z. SS. R., przetłumaczył z włoskiego O. W. Szołdrski O. SS. R. — Toruń 1935, Tom I, str. 784. Nakł. OO. Redemptorystów.

Jeśli chodzi o życie duchowe, to bezwątpienia pierwszeństwo oddać trzeba autorom, przed których imieniem zaznaczamy: św., błog., Wiel., a to dlatego, że tym, co sami siebie uświęcili, wiekszą możemy dać wiarę, niż innym, co bezwątpienia mają jaknajlepsze chęci, mają nawet wysokie nieraz wykształcenie w rzeczach duchowych, ale nie mają jeszcze tego piętna świętości, powiedziałbym najwyższego „Imprimatur".

Rozmyślania, jakie mamy przed sobą, cechuje przedewszystkiem jasność i łatwość, te dwie charakterystyczne cechy dzieł św. Alfonsa. — Bardzo piękne jest uwzględnienie nabożeństw we czwartki do Najśw. Sakramentu, w piątki do Męki Pańskiej, w soboty do N. P. Marji; pierwsze piątki poświęcone Boskiemu Sercu. Czysto oryginalna jest wiązanka rozmyślań o Dzieciątku Jezus na każdego 25 dnia w miesiącu. Bardzo dobre uwzględnienie nowonn do Narodzenia P. i do Ducha św. Do rozmyślań o Świętych, dobrzeby było dodać kilka rozmyślań o naszych polskich świętych, zwłaszcza Patronów Polskich. Natomiast wykaz rozmyślań rekolekcyjnych może lepiej było umieścić na końcu drugiego tomu, możnaby w takim razie uwzględnić i rekolekcje pełne ośmiodniowe, jakie w niektórych zakonach są w użyciu.

Tom I, obejmujący czas od I niedzieli Adwentu do oktawy Zielonych Świątek włącznie, bardzo dobrze uwzględnia rok kościelny i dlatego nadaje się bardzo do użytku zgromadzeń zakonnych, szczególniej zaś tam, gdzie istnieją nowicjaty, a więc i potrzeba wyszkolenia młodych dusz w modlitwie myślnej.

O. Ant. G.

O. Caussade T. J.: ZDAJ SIĘ NA WOLĘ BOŻĄ. Wydanie Księgarni Katolickiej M. Łubieńskiej, Kraków, Florjańska 1. Str. XXV+100, cena zł. 1.20.

Książeczka pod wyżej wymienionym tytułem jest prawdziwą perełką z dziedziny mistyki. Warto ją dołączyć do posiadanych już książek z tego działu.

We wstępie O. Ramière poucza na czem polega cnota całkowitego zdania się na Opatrzność Boską. Jak trzeba ją rozumieć i spełniać ażeby nie wpaść w lenistwo tak w rzeczach duchowych jak i doczesnych. Objaśnia jakby lepiej wniknąć w dziełko O. Caussade, które pisane jest dla dusz już posuniętych na drodze życia wewnętrznego, ale które zawiera jednak bardzo dużo cennych wskazówek także dla dusz początkujących. Wszyscy bowiem wiemy ile to potrzeba wysiłku i pracy z naszej strony, ile łaski z góry by ta wola Boża przeniknęła naszą wolę we wszystkich szczegółach życia. Ta nieduża, ale bardzo treściwa książeczka pouczy nas jak mamy dojść do tego celu.

Ks. Henryk Weryński : SKUTECZNY RÓŻANIEC. Wydawnictwo i nakład SS. Służebnic N. Serca Jezusowego, Kielce Karczówka, str. 24, cena 25 gr.

700-tną rocznicę kanonizacji św. Dominika, wielkiego propagatora nabożeństwa różańcowego i 50-tą rocznicę zaprowadzenia październikowego nabożeństwa różańcowego przez ś. p. Papieża Leona XIII uczcił autor powyższej książeczki, znany szeroko i ceniony publicysta, odpowiadając na dwa pytania :

1) Dlaczego Różaniec jest skutecznym,

2) i kiedy Różaniec jest naprawdę skutecznym.

Publikacja nadaje się do masowego rozpowszechnienia i przyczyni się niewątpliwie do a) lepszego zrozumienia, b) poprawniejszego odmawiania i c) serdeczniejszego umiłowania Różańca.

Na ciężkie czasy : zmagania się z bezbożnictwem i niewiarą, na czasy czynnego katolicyzmu (Akcji Katolickiej) uzbrojenie współczesnych katolików w paciorki różańcowe uważamy za pierwszorzędne zadanie : w mobilizacji modlitw, nieodzownej w walce.

Ks. Henryk Weryński: PRZEZ ŁZY I UŚMIECHY. Wydawnictwo i nakład SS. Służebnic N. Serca Jezusowego, — Kielce Karczówka. Str. 24, cena 25 gr.

Dobrze cierpieć i znosić należycie i po Bożemu troski tego życia ziemskiego — to nie jest rzecz łatwa. Autor, ceniony powszechnie pisarz katolicki, przypomina nam w powyższej książeczce: jakie lekarstwa przyniósł nam Chrystus Pan na troski tego życia.

W drugiej części tej publikacji znajdujemy — w elementarnym skrócie — należyte ujęcie radości z punktu widzenia nauki P. Jezusa.

Wydawnictwo to odda rzetelną usługę wszystkim i tym, co „przez łzy" i tym, co „przez uśmiechy" patrzą na to życie.

Nadaje się do masowego rozpowszechnienia!

Szczególnie pragnęlibyśmy, by ta książeczka znalazła się w rękach jaknajwiększej liczby: chorych i nieszczęśliwych.

X. S. P. M.: WANDA MALCZEWSKA. Warszawa, 1934, str. 303.

Nareszcie Wanda Malczewska doczekała się dobrego opracowania, które niemało powinno się przyczynić do rozpowszechnienia w naszem społeczeństwie, wiadomości o tej pięknej duszy, do wzbudzenia zaufania w jej wstawiennictwo i do przyspieszenia w ten sposób, procesu jej beatyfikacji. Autor dobrze umiał wyzyskać materjały, pozostawione przez tych, co Wandę Malczewską znali i następnie pięknie przedstawił poszczególne okresy jej życia, na tle tragicznych dziejów naszego dziewiętnastego wieku. Rozwój jej życia duchowego, przedstawiony jest bardzo poprawnie, z głębokiem zrozumieniem jego podstawowych zasad. Szkoda, że autor nie uznał za stosowne, odkryć swego nazwiska, a jeszcze bardziej, że nie podał, gdzie książka została wydana i gdzie ją można nabyć; utrudni to jej rozsprzedanie i nie pozwoli spełnić w tej mierze, jakby można było się spodziewać, swego zadania.

O. J. W.

POSTACIE ŚWIĘTYCH: św. Franciszek z Assyżu, św. Barbara, św. Krzysztof, św. Michał, św. Dominik, św. Róża z Limy, po str. 36; cena: 30 gr. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań 1935.

Cenne wydawnictwo św. Wojciecha: „Postacie Świętych" — zdobyły sobie już wielką popularność. One posiadają te cechy, których często brakowało dawniejszym, obszernym hagjografjom: jasność i krytyczność w opracowaniu treści, taniość i estetyczna szata! Dochodzi jeszcze jeden moment dodatni: Nowe wydawnictwo obejmuje już dzisiaj 50 postaci Świętych, i tem samem zaznajamia ogół czytelników z całym szeregiem „najwartościowszych ludzi", których nietylko trzeba podziwiać, lecz w miarę możności naśladować. Dotąd w obiegu były tylko hagiografje Świętych bardziej aktualnych lub „modniejszych".

Powyższe postacie, wyjąwszy św. Franciszka z Asyżu, wymagały dużo trudu w doborze materjału, przeważnie z apokryfów i podań, gdyż z pierwszego tysiąclecia stosunkowo mało przechowało się dokumentów historycznych. W tem też zasługa poszczególnych autorów, że otwarcie oddzielili rzeczy mniej prawdopodobne, od faktów pewnych i krytycznych.

Obok danych biograficznych znajdujemy w poszczególnych hagiografjach partje z historji Kośc., objaśnienia niektórych dogmatów i historję kultu tych Świętych. Takie ujęcie sprawia, że „Postacie Świętych" spełniają rolę pewnego rodzaju popularnej apologji.

Wydawnictwo piękne i pożyteczne. *H. Z.*

Ks. J. Archutowski, Prof. U. J.: NIEWOLA BABILOŃSKA. Wyd. Koła Biblistów U. U. J., Kraków 1935.

Niestrudzony pracownik naukowy i płodny pisarz, jeden z głównych przedstawicieli naszej literatury teologicznej, Ks. J. Archutowski, przedstawia w niewielkiej (str. 132), ale bardzo źródłowej pracy historję niewoli babilońskiej na podstawie — prócz Pisma św. — najnowszych dokumentów i wyników badań na Wschodzie. Po naszkicowaniu szerokich ram historji

krajów biblijnych, a zwłaszcza dziejów królestwa izraelskiego i judzkiego aż do ich upadku (część pierwsza ,str. 5-36) i krótkim opisie niewoli asyryjskiej (część druga, str. 37-42), Autor kreśli w sposób bardzo interesujący i przystępny, a przytem naukowy i krytyczny historję samej niewoli babilońskiej, opowiadając o uprowadzeniu Żydów i miejscu osiedlenia, o stanie uprowadzonych, ich warunkach materjalnych, społecznych, politycznych i religijnych, wreszcie o działalności proroka Ezechjela i nauczaniu Izajasza rr. 40-55 (część trzecia, str. 43 nast.).

Praca X. Prof. A. zapoznaje nas ze wszystkiemi głównemi problemami niewoli babilońskiej, uwzględnia wszystkie z nią związane trudności natury historycznej i egzegetycznej i stanowi doskonały komentarz do ważniejszych miejsc Ksiąg Królewskich. Winna znaleźć się w ręku każdego miłośnika studjum Pisma św.

JESUS IN ORE PROPHETARUM. Tractatus de vaticiniis messianicis juxta S. Bonaventurae doctrinam exaratus a *P. Thoma Villanova Gerster a Zeil O. M. Cap.* Turyn, Marietti. 1934.

Wpięknej, niewielkiej objętości książeczce (str. 232) zebrał Autor proroctwa Mesjańskie St. Test. i przedstawił je w świetle nauki św. Bonawentury, uwzględniając przytem prace wielu nowszych autorów. W pierwszej części omawia proroctwa mesjańskie St. T., dotyczące narodzin, życia, działalności, męki, śmierci, zmartwychwstania i wniebowstąpienia Mesjasza, jak i jego boskości i królestwa, a w drugiej wyjaśnia, w jaki sposób spełniły się te proroctwa na Chrystusie. Książkę swoją przeznacza A. dla kleryków-teologów, którzy mogą w niej znaleźć nietylko obfity materjał i przedmiot rozmyślania, ale także doskonałą pomoc w nauczaniu wiernych. *A. F.*

Superiorum permissu. De licentia Ordinarii.
Redaktor odpow.: *O. Dr. Romuald Kostecki O. P.*